

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7 Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. **Kraków, 30 listopada 1907.** **Nr. 48.**

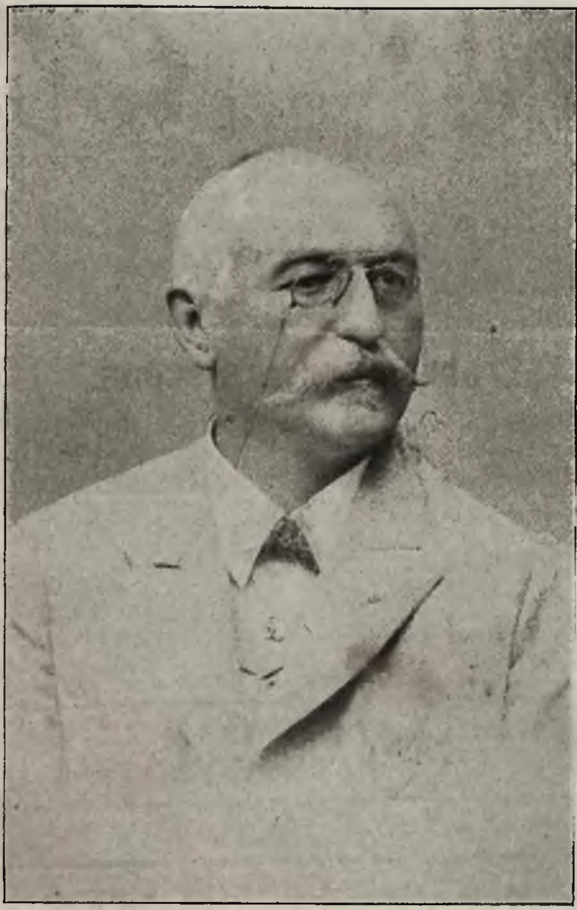
Wykrycie strasznej zbrodni. (Treść na str. 2).



Wykrycie strasznej zbrodni.

(Do illustracyi tytułowej.)

Spory o grunt — oto tło, na którem rozgrywa się największa ilość zawikłań wśród ludu wiej-



Wiceprezes Koła polskiego w Wiedniu: P. Paweł Stwiertnia.

skiego w naszym kraju, zawikłań czasem pokojowo się kończących, czasem jednak prowadzących do zbrodni okrutnych, do mordów bezlitosnych. Bo lud nasz jest nietylko przywiązany całą duszą do ziemi, ale i na nią chciwy niezmiernie. Szkoda tylko, że go ta żądza pcha niejednokrotnie do czynów karygodnych.

Na takiem właśnie tle sporu o grunt i gospodarstwo, spełnioną została w lipcu b. r. straszna zbrodnia we wsi pod Krakowem, Pleszowie. Wieśniak Gorecki wydał był przed kilkunastu laty swą córkę za młodego gospodarza, Franciszka Kryzę. Jako wiano oddał córce i zięciowi całe swoje gospodarstwo, zastrzegając sobie tylko dożywocie na połowie posiadłości. To zastrzeżenie było nie na rękę Kryzie, który radby był zawładnąć całem mieniem teścia. Nie pomny dobrodziejstwa, jakiego odeń doznał, poniewierał starzejącym się Goreckim, wypędzał go kilkakrotnie z domu i zmuszał do tego, że starowina sypiał w stodole lub chlewie. Przychodziło stąd do częstych w domu swarów, a nawet sporów sądowych, co jeszcze bardziej roznamiętniało chciwego na grunt Kryzę. Przyszło w ostatnich czasach do tego, że Kryza odgrażał się publicznie teściowi, iż go zamorduje. Gorecki więc zwrócił się znowu do sądu ze skargą przeciw zięciowi. Było to w lipcu tego roku. W tym też właśnie czasie starowina zniknął ze wsi. I mijały dni za dniami, a Gorecki nie wracał. Sąsiedzi przebąkiwali z cicha, że musiał go Kryza sprzątnąć z tego świata, śledztwo jednak, prowadzone przez żandarmeryę, nie dało żadnych pozytywnych wyników.

Dopiero przed kilkunastu dniami oddano całą tajemniczą podówczas sprawę ajentowi policyi krakowskiej, p. Jakóbowi Karczowi do zbadania, a ten wziąwszy się energicznie do śledztwa, zebrał tyle szczegółów, wskazujących winę Kryzy, że przyaresztował Kryzę, aż ten ostatecznie przyznał się p. Karczowi do popełnienia zbrodni.

A była to zbrodnia istotnie straszna. Zamordował on teścia w chwili, gdy ten spał, uderzywszy go kilkakrotnie w głowę ciężkiem żelazem. Następnie zwłoki jego wrzucił do przygotowanego dołu w piwnicy i tam je ugniótł, a następnie przysypał ziemią. Wskazał też zbrodniarz miejsce, gdzie trup nieszczęsnego starca leżał pogrzebany.

W następstwie tych zeznań zbrodniarza, udała się przed kilku dniami do Pleszowa komisya sądowo-lekarska, i tam w obecności mordercy dokonano odgrzebania zwłok. Straszną tę scenę wydobywania zwłok w obecności komisyi przedstawia nasza dzisiejsza rycina tytułowa.



Skon księcia Parmeńskiego: Książę Robert, ostatni władca Parmy i Piacencyi.



Nowość w ruchu pocztowym: Komisya pocztowa, obradująca pod przewodnictwem st. radcy Schiifnera (X) ze Lwowa.

Nowość w ruchu pocztowym.

Doniosłą nowość w ruchu pocztowym wprowadza w maju przyszłego roku ministeryum handlu na linii Kraków-Ickany. Oto na linii tej kursować będą raz na dobę specyalne pospieszne pociągi pocztowe, przeznaczone wyłącznie do przewożenia przesyłek. Dotychczasowa manipulacya, która polegała na załadowywaniu przesyłek do wagonów ambulansowych przy pociągach osobowych i pospiesznych, była wobec zwiększającego się stale ruchu pocztowego bardzo niepraktyczną, nietylko bowiem opóźniała ruch pociągów, zwłaszcza pospie-

Aparatem redakcyjny

musiały zatrzymywać się w tym celu dłużej na poszczególnych stacyach, ale i powodowała przeciążenie i przeładowanie ambulansów, skutkiem którego nieraz ważne i pilne przesyłki musiały czekać na swą kolej przez dłuższy czas.



Srebrne gody ze sceną: Józef Popławski, reżyser teatru polskiego w Wilnie

Inicyatywę do wprowadzenia specyalnych pociągów pocztowych dała dyrekcya galicyjska, a gdy ministerstwo handlu myśl tę zaakceptowało, odbyła się w Krakowie w urzędzie pocztowym na dworcu komisya, w której wzięli udział prócz zastępcy prezydenta dyrekcyi lwowskiej, st. radcy Schiffnera, oraz kilku delegatów ze Lwowa i z Krakowa (pp. dyrektor Korytowski i Rudolf), także delegaci dyrekcyi we Wiedniu (pp. Höbinger i Daurer), Pradze (p. Hoyer), Bernie (dr. Habermann) i Czerniowcach (p. Horaczek).

Pod przewodnictwem p. Schiffnera obradowała komisya ta przez trzy dni nad rozmaitymi szczegółami, dotyczącymi ruchu nowych pociągów, nadto jeden dzień konferowano wspólnie z delegatami trzech dyrekcyj kolejowych galicyjskich, oraz dyrekcyi wiedeńskiej, berneńskiej i praskiej.

Wiceprezes Koła polskiego w Wiedniu.

W dalszym ciągu zmian dokonanych w łonie Koła polskiego w parlamencie wiedeńskim, nastąpił w ubiegłym tygodniu wybór dwu wiceprezesów, którymi zostali b. minister i b. prezes Koła Wojciech hr. Dzieduszycki, oraz poseł Stwiertnia. Stanowisko trzeciego wiceprezydenta pozostało narazie nieobsadzone.

Poseł Paweł Stwiertnia, z zawodu inżynier kolejowy, należy do najdzielniejszych ludzi wśród polskiej demokracyi. Człowiek wysokiej inteligencyi, doskonały mówca, charakter nawskróś czysty i nieugięty w swych zasadach, zdobył sobie już od początku karyery politycznej ogólne poważanie i mir. Nawet wówczas, gdy rządy w Kole polskiem pozostawały niepodzielnie prawie w ręku większości konserwatywnej, poseł Stwiertnia powoływany był do komisyi parlamentarnej z ramienia demokratycznej mniejszości Koła. A kiedy obecnie rządy nad reprezentacyą polską w Wiedniu przeszły w ręce demokracyi, wybrano go jednomyślnie jednym z wiceprezesów.

Skon księcia Parmeńskiego.

Z liczby „królów na wygnaniu“ ubył obecnie jeden z najsympatyczniejszych, sześćdziesięcioletni książe Robert Burboński, infant hiszpański, książe Parmy i Piacencyi.

W szóstym roku życia, po tragicznej śmierci ojca swego, Karola III, objął tron rodzinny pod



Srebrne gody ze sceną: Józef Popławski w swych najwybitniejszych rolach.

regencyą swej matki, księżnej Ludwiki. Krótkie jednak były dziecięce jego rządy, bo w sześć lat potem, musiał opuścić już swe dziedzictwo i przenieść się z matką do Szwajcaryi, a potem do Austryi. Rewolucya włoska pożogą swoją objęła i Parmę, która została wcieloną do Królestwa włoskiego, dom więc książęcy musiał uchodzić ze swej stolicy. Książe Robert prawie całe życie spędził poza krajem rodzinnym, przebywając przeważnie w Austryi, gdzie posiadał kilka wspaniałych zamków. Po większej części zamieszkiwał zamek Schwarzau, utrzymując na nim liczny dwór. Do składu jego przybocznej świty należał i hr. Ledóchowski, który u zmarłego księcia znalazł serdeczne przyjęcie z powodu swej afery pojedynkowej. Przed kilku laty mianowicie hr. Ledochowski, oficer austryacki, wystąpił przeciw pojedynkom i z tego powodu musiał na mocy wyroku sądu oficerskiego opuścić szeregi armii. Odważny czyn hrabiego znalazł uznanie u księcia, który sam gorąco zwalczał ten anachronizm społeczny. Ks. Robert od chwili zamieszkania na obcej ziemi, pogodził się ze swym losem i nie pretendował do żadnego tronu, czas cały poświęcając swej licznej rodzinie. Był on dwa razy żonaty, raz z księżniczką Maryą Pią Burbońską, z którą miał dziewięcioro dzieci, a potem z Maryą Antoniną Portugalską, która pozostawiła mu jedenaścioro dzieci. Znaczny majątek, jaki książe Robert pozostawił, przechodzi na jego potomstwo, zabezpieczając w ten sposób życie licznym obecnie książętom z byłych domów panujących.

Srebrne gody ze sceną.

Jeden z najsympatyczniejszych i najzdolniejszych polskich artystów dramatycznych, Józef Popławski, obecnie reżyser polskiej sceny w Wilnie, święcić będzie za dni kilka swe srebrne gody ze sceną.

Józef Popławski urodził się w Królestwie Pol-



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Jubileusz sługi: Naczelnik magazynów Gruszecki, przypina jubilatowi medal za 40-letnią służbę.



Fot. M. Todt w Przemyślu

Jubileusz sługi: Jubilat D. Węgrzynowski w otoczeniu przełożonych i robotników.



Fot. A. Croce, Medyolan.
Macedońska rewolucyonistka: Panna Jordanowka Pukawiczarowo.

skiem w Hrubieszowie, do szkół chodził w Lublinie, a następnie we Lwowie, a ukończywszy tam szkołę realną, słuchał przez dwa lata wykładów na politechnice. Wrodzony talent i umiłowanie sztuki dramatycznej popchnęły go jednak na ciężką, ciernistą drogę aktorskiego żywota. Rozpoczął ją w trupie Zenowicza, którą jednak po paru miesiącach opuścił, aby w Warszawie kształcić się w szkole dramatycznej, założonej właśnie podówczas przez śp. Derynga. Ukończywszy tę szkołę, debiutował na scenie warszawskiej z ogromnem powodzeniem, poczem pracował kolejno w trupie Puchniewskiego, Trapszy, w Łodzi w teatrze miejskim, w Poznaniu, w Krakowie, we Lwowie, jeździł z własnem towarzystwem po Rosyi i Królestwie, potem był znowu w Krakowie aż ostatnio przeniósł się do Wilna.

Jubilat cieszył się zawsze i wszędzie niekłamaną sympatyą publiczności. I słusznie. Należy bowiem do najwybitniejszych artystów polskich, do tych, którzy sztukę aktorską nietylko kochają całą duszą, ale i rozumieją. W rolach charakterystycznych, o podkładzie dramatycznym, w rolach kabotynów i zapoznanych wielkości, jest dzięki swym warunkom zewnętrznym wprost niezrównanym. Humor szczery i naturalny, wolny od przesady i szarży, głos miły i podatny, twarz ruchliwa i wyraziste oczy — oto co obok pracowitości jest podstawą powodzenia Popławskiego.

Podkreślić też należy, że p. Popławski pracuje dla sceny nietylko jako aktor, ale i jako autor i tłomacz. Z rzeczy oryginalnych cieszyły się dużem powodzeniem jego „Awanturnica“, dramat w 5 aktach, „Nędza“, fragment dramatyczny, „Niebieskie róże“ i szereg nowel. Nadto przerobił na scenę parę powieści. jak „Placówka“, „Hajduczek“, „Azya Tuhaj-bejowicz“, „Kmicic“, „Chilon Chilonides“ itd., sporo też dramatycznych utworów przełożył na język polski, między tymi znaną sztukę Ostrowskiego „Łapownicy“.

Gmach na wodzie.

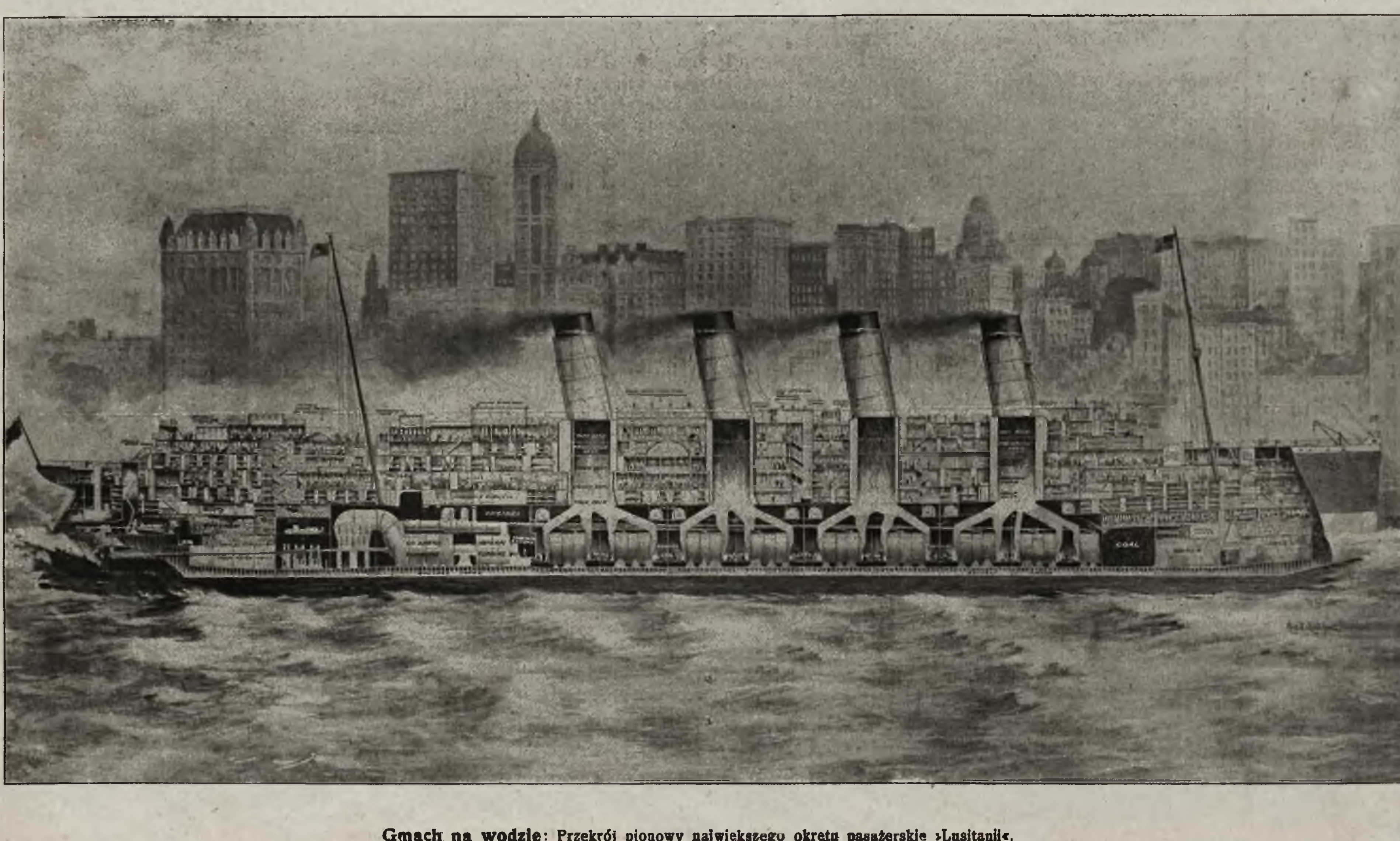
Przed paru tygodniami pisaliśmy na tem miejscu o zajmujących wyścigach dwu morskich olbrzymów-parowców „Księżniczka Cecylia“, należącego do Niemiec i „Lusitania“, należącego do Anglii. W zapasach tych odniosła zwycięstwo „Lusitania“, przebywając przestrzeń z Liverpoolu do Nowego Jorku w 127 i pół godzinach.

Dziś zamieszczamy w „Now. Illustr.“ podobiznę



Studentka chińska: Li-Tsu-Cung, studyująca na uniwersytecie berlińskim.

przekroju pionowego „Lusitanii“, skąd Czytelnicy mogą nabrać pojęcia o wewnętrznem urządzeniu tego olbrzymiego, najszybszego dotychczas statku, oraz o jego wielkości w stosunku do tła, który stanowią gmachy na wybrzeżu Ameryki.



Gmach na wodzie: Przekrój pionowy największego okrętu pasażerskie »Lusitanii«.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

I

Wiosna. Jasne promienie słońca porannego rozświetliły zmęczone mury starych kamienic, skrzą się na chropowatym tynku, odsłaniają brutalnie nagą, brudno-czerwoną cegłę, spłowiałą na deszczach i śniegach, błyszczą w szybach okien, zaglądając do mieszkań ludzkich. Żwawe wróble zwołują się ćwierkaniem, sfruwają, przysiadają, plącząc się pomiędzy przechodniami.



Na rogu ulicy obszarpany, mizerny chłopak, trzymając w ręku brudny, obtłuszczony talerz, wykrzykuje co chwila:

— Fiijołki! Fiijołki! — ze szczególnym akcentem zachęty, a biorąc w brudne palce maleńkie bukieciki, podsuwa je lepiej ubranym przechodniom.

Z bramy kamienicy, wąskiej, wysokiej, zaniedbanej, wyszła dziewczyna, zaróżowiona szybkiem schodzeniem po stromych schodach oficyny. Uśmiechnęła się na widok rozjaśnionej ulicy, zgrabnym ruchem ręki poprawiła obfite ciemno-blond włosy, wysuwające się z pod lekkiego, słomkowego kapelusza, i podgiawszy świeżą, perkalową sukienkę granatową w białe paski, poczęła iść szybko ulicą.

Dojrzał ją chłopak, sprzedający kwiaty i podbiegł podając bukiecik:

— Fiijołki! Świeże! Majowe!

Poczuła delikatny zapach kwiatków, które jak się jej zdawało, z brudnych rąk chłopca spoglądały na nią litośnie.

Zawahała się. Szybko obliczyła posiadane pieniądze. Miała jeszcze 60 halerzy, a dziś dopiero 16 maja, jeszcze tak daleko do 1 czerwca, do pobrania pensyi. Przezorność nakazywała jej powstrzymanie się od zbytkownego wydatku... ale fijołki pachły tak mile, tak słodko i wiośnianie wobec zaduchu ulicy, że szybko sięgnęła do kieszeni, pytając ile?

— Dziesięć halerzy!... Bardzo tanio...

— Dam sześć.

— Tylko dla pani — uśmiechnął i wręczył jej bukiecik.

Wzięła i idąc dalej ulicą, rozkoszowała się zapachem, muskała ustami delikatne kwiatki i mimowolnie opanowywało ją pragnienie ujrzenia łąki, drzew, gaju, gdzie kwitną fijołki, niezapominajki, stokrocie, sasanki, gdzie lśnią w słońcu delikatne liście, śpiewają ptaki, brzęczą owady...

I ani się spostrzegła, gdy stanęła przed szerokiemi drzwiami, prowadzącemi wprost z ulicy na schody budynku dyrekcyi kolei.

Przed klatką schodową, zasłoniętą szklanemi drzwiami, stał w mundurze poważny portyer, w całem poczuciu swej godności. Przelotnie spojrzał na wchodzącą manipulantkę, nie ruszając się z miejsca skinął głową protekcyjnie i znów bezmyślnie patrzał na rozświetloną ulicę, przez którą spieszyły dorożki, ciągnęły furmanki podmiejskie, przesuwały się służące z koszykami i żydzi w długich, ciemnych chałatach.

Po szerokich, wygodnych schodach wbiegła na pierwsze piątro i w długim, jasnym korytarzu dojrzała kilku urzędników, idących pospiesznie do swych biur. Przemknęło jej w myśli, że może się spóźniła, przyspieszyła więc kroku wchodząc na drugie piątro i niechcący zawadziła bucikiem o wystającą skówkę, służącą do przytrzymywania nieistniejącego chodnika.

Z troskliwością wielką spojrzała na bucik, a na jej ładnej, wrażliwej twarzy odbiła się obawa. Istotnie na skórze bucika, tuż obok małego palca lewej nogi, widniała biaława rysa. Dotknęła się jej białym, delikatnym palcem, westchnęła głęboko, nie miała jednak czasu dłużej się smucić, gdyż tuż obok zabrzmiał właśnie głos jednego z kolegów:

— Dzień dobry pani.

Szybko opuściła sukienkę, zarumieniona odpowiedziała na pozdrowienie i pobiegła w górę.

Na długi, wąski korytarz wychodziły liczne drzwi biur poszczególnych. Otworzyła jedne z nich i weszła do pokoju niemal kwadratowego, oświetlonego jednem oknem. Owionęło ją stęchłe, duszne powietrze, przesiąknięte kwaskowatą wonią świeżych tektur, starego dymu tytuniowego i kurzu po niedawnem zamiataniu.

Pokój był umeblowany trzema stołami, stojącymi równolegle, zwróconymi krótszymi bokami ku oknu. Przy jednym z nich siedział niemłody, łysawy brunet, z twarzą żółtawą, zmęczoną. Słysząc otwierające się drzwi, spojrzał zgryźliwie w tę stronę, zmarszczył krzaczaste brwi, poprawił czarny, bufiasty rękaw, chroniący prawą rękę od powalania pyłem lub atramentem i rzekł z gryzącą:

— Wiedziałem, że to pani... tamten brukotłuk zawsze się spaźnia — i zajął się pisaniem.

W odpowiedzi usłyszał uprzejme słowa:

— Dzień dobry panu — na co skinął głową obojętnie.

Ona starannie wytarła krzesło chusteczką, położyła obok na aktach bukiecik fijołków i z półki przytwierdzonej do stolika, zdjęła plik papierów.

Zaczęła wpisywać cyfry frachtów, oddanych na stacyi, lecz mimo usiłowań skupienia uwagi, drażniła ją duszna atmosfera pokoju, zwłaszcza że od czasu do czasu przy nachylaniu się, zalatywał do niej zapach fijołków i złączone z tem wspomnienia słońca, łąk, świeżości. Siedzący przed nią, przy swym stoliku kolega, zapalił tanie cygaro, a duszący dym napływał ku niej. Tego było jej zanadto; wstała i otworzyła okno. Świeży powiew powietrza napełnił pokój.

Starszy kolega Marcin Borski, na stuk otwieranego okna podniósł głowę nachyloną, spojrzał drwiąco na manipulantkę Janinę Trawecką, wypuścił wielki kłąb dymu i zaczął ze szelestem odwracać papiery, a znalazłszy poszukiwany akt zaczął pisać. Wśród ciszy pokoju słychać było przytłumiony turkot dorożek, świergot jaskółek i wróbli, a na korytarzu przyśpieszone kroki urzędników. Po dobrej chwili drzwi otwarły się z łoskotem i na progu w kapeluszu, w szczelnie zapiętym paltocie wiosennym, stanął przełożony Jan Rammer, naczelnik grupy.

Spojrzał surowo z poza okularów na siedzących, a widząc trzeci stół pusty, zmarszczył się i na jego zwiędłej, schorowanej twarzy zarysowało się niezadowolenie. Nie wchodząc do biura spytał zgryźliwym głosem:

— Gdzie pan Wilmański?

W tem wzrok jego padł na otwarte okno, szybko więc przymknął drzwi za sobą i zawołał gniewnie:

— Kto otworzył?—wskazał parasolem okno—proszę zamknąć!

Trawecka zaczerwieniona, wstała szybko z krzesła, mówiąc na swe usprawiedliwienie:

— Sądziłam... taka pogoda, a tu duszno...

— Co pani sądziła nie wiem... a tu biuro... zachciewa się komu salonów, niech idzie tam...

Przypatrywał się badawczo, czy okno dobrze zamyka, rzucił okiem na jej stolik, a widząc fijołki uśmiechnął się wzgardliwie, wzruszył ramionami, cedząc przez zęby:

— Taka to robota...—i poszedł do przybocznego pokoju, do swego biura.

W pokoju tym, prócz biurka, stała szafa, kilka krzeseł i wieszadło na rzeczy. Powiesił kapelusz, a rozpiąwszy palto, rozbierał się postękując cicho, gdyż w czasie piętnastoletniej służby w ruchu, po różnych stacyach, nabawił się reumatyzmu, który mu od czasu do czasu dokuczał. Wzburzony otwarciem okna w przyległym pokoju, w przeczuciu możliwych bólów, roztarł kolana i uda. Gniewny, poprawiając opadające okulary, podszedł do okna, sprawdził zamknięcie i z westchnieniem usiadł przy biurku. Przeglądał odrobione „kawałki”, a spostrzegłszy na jednym arkuszu kleks atramentowy, wstał i stając w drzwiach, rzekł surowo:

— Panie Borski... raz na zawsze mówiłem, żadnych kleksów, plam, poprawek... rozumiesz pan?

Upomniany podniósł na niego zmęczone oczy i powstrzymując uśmiech złośliwy, usprawiedliwiał się:

— Panie naczelniku, to wina atramentu, mówiłem już o tem.

— Atrament jest dobry, cała dyrekcya go używa, to nieuwaga pana.

— To zapewne we wszystkich biurach robią kleksy.

— Nic mnie nie obchodzą inne biura, tylko moje... proszę uważać.

— Dobrze... a swoją drogą atrament...

— Dość tego!... żebym panu dał złoty atrament, nic nie pomoże, bo pan masz ciężką rękę.

— Z winy kolei—odmruknął i chmurny wziął się do roboty.

— Kolej... kolej — drwił przełożony — ale z jej łaski masz pan kawałek chleba.

— Gorzkiego — rzekł półgłosem.

Pan naczelnik miał właśnie rozpocząć naukę moralną o dobrodziejstwie kolei, gdy cicho uchyliły się drzwi od korytarza i ukazała się twarz młodego szatyna.

— A... witam pana Wilmańskiego — zawołał z ironią przełożony — proszę bliżej... już wpół do dziesiątej — spojrzał na złoty zegarek — czy pan Wilmański nie wie, jakie są godziny urzędowe? I ja, przełożony, mam czekać na łaskawe zjawienie się pana?

Wilmański przez czas tej przemowy ustawiał swą laseczkę, wieszał kapelusz i schylając lekko głowę ze starannie rozczesanemi włosami, odpowiedział śmiało:

— Pan inspektor wezwał mnie w sprawie chóru kolejarskiego.

— Śpiewaniem nie odrobisz pan swych zaległości — spojrzał w stronę stolika pełnego papierów.

— Pan inspektor kazał, byłem posłuszny — znów skłonił głowę.

— Otóż robota — mruknął gniewnie pan naczelnik wracając do siebie.

Wilmański usiadł i z wielkim hałasem jął porządkować papiery mrucząc:

— Zawsze nawali mi tyle... wszystko na mnie... tego za wiele...

Gdy jako tako uprzątnął stół, wyjął pęk błyszczących kluczyków, jednym z nich otworzył szufladę, wyjął lusterko ręczne i starannie zaczął się przyglądać swej bladawej, trochę zlampartowanej twarzy; delikatnie przycisnął nastawione w górę wąsiki, a następnie czyścić paznokcie, co skończywszy rozłożył papiery i niedbale z miną znudzoną wziął się do roboty. Po chwili wyjął papierosa i poszedł po zapałki do Borskiego. Na stoliku środkowym Traweckiej dojrzał fijołki. Zbliżył się, wziął bukiecik, powąchał i robiąc słodkie oczy, rzekł przyciszonym głosem z udaną czułością:

— Co za roskoszny kwiatuszek... zwiędnie tu w zaduchu, jakże mi go żal...

Udała, że nie słyszy i pochyliwszy się, zajęła się pracą.

— Pozwoli pani, że dam im wody — a nie czekając odpowiedzi, wrócił do swego stołu i wyszukał flakonik z perfum w szufladzie.

— Jeszcze wody... i dobrze im będzie — uśmiechnął się.

W cichym pokoju, mimo przyciszonego głosu, słychać było rozmowę. Pierwszy poruszył się na krześle Borski i spojrzał zjadliwie, a po chwili odezwało się ostrzegające krząkanie pana naczelnika z przyległego pokoju. Wilmański nie zważał na to, poszedł na korytarz i z umieszczonego tamże kranu wodociągowego, nalał wody. Wróciwszy, postawił flakonik z fijołkami na stoliku i zwracając się do siedzącej, spytał:

— Czy dobrze teraz.

— Dziękuję — odpowiedziała suchym głosem.

— Prosiłbym o zapałki — rzekł do Borskiego, który właśnie sumował.

— Przerwał mi pan — mruknął niechętnie — leżą przecież na stole.

— Nie śmiałem bez pozwolenia — uśmiechnął się ironicznie.

— Pannom zawracaj pan głowę — spojrzał na stolik Traweckiej — bierz pan...

— I idź do dyabła — zaśmiał się Wilmański zapalając papierosa.

— Tego nie powiedziałem, ale...

— Chciałem — dodał młody ze śmiechem.

— Ale przerwał mi pan i całą kolumnę muszę przerobić.

Znów chrząknął pan naczelnik, a Borski mruknął niechętnie:

— Chyba reumatyzm ma w gardle.

— To wyborne — śmiał się Wilmański i poszedł do swego stołu.

W jakiś czas wyszedł ze swego pokoju przełożony, w zapiętej marynarce, z nastawionym kołnierzem, w kapeluszu, trzymając w ręku szklankę i skierował się na korytarz.

Gdy drzwi się zamknęły, odezwał się Wilmański:

— To pierwsza dawka pigułek.

— Sam się truje... ze strachu — dodał Borski — za dobrze mu jest, to wyszukuje sobie chorobę... Gdyby on był w mojej skórze — westchnął.

— A cóż panu? — spytała Trawecka.

— Mnie? — spojrzał badawczo — hoduję na żołądki żony i czworga dzieci.

— O, to ciężka choroba — zaśmiał się Wilmański — ja na nią nie myślę chorować.

— A jednak zachorujesz pan... tylko lżej, bo pan ma lekkie życie.

Wrócił pan naczelnik, pióra podwładnych posuwały się szybko, on spojrzał badawczo i wzdychając, poszedł do siebie. Wszedł woźny i stukając ciężko, skierował się wprost do drugiego pokoju. Wśród ciszy odezwał się gruby, acz przyciszony głos woźnego:

— Pan nadrewident prosi o akta liczba 20.487.

Po chwili zabrzmiał skrzeczący głos pana oficyała:

— Panno Trawecka! u pani jest liczba 20.487?

— Tak jest — odpowiedziała nieśmiało.

— Proszę mi dać.

Zaczerwieniona, z aktami w ręku poszła do drugiego pokoju i podała papiery przełożonemu. Ten przerzucił akta i wpatrując się w nią, rzekł zjadliwie:

— Cóż mi pani dajesz?... Nie skończony jeszcze wykaz.

— Otrzymałam dopiero wczoraj — powiedziała cicho.

— Wczoraj, czy dziś — rzekł surowo — powinno być gotowe, bo to służba — a zwracając się do woźnego, dodał — za chwilę oddam.

Gdy woźny wyszedł, wstał, oparł ręce na biurku i zaczął:

— Nie skończyła pani, chociaż jak wół napisałem niebieskim ołówkiem *dringend* i podkreśliłem. Jeśli pani nie umie po niemiecku, nie trzeba służyć... ale pani fijołki w głowie, kwiatki, ptaszki, a nie robota...

— Panie naczelniku, zaraz skończę...

— Dziękuję — uśmiechnął się drwiąco — znam to babskie zaraz... kobiety powinny dzieci, domu pilnować, a nie tu zawadzać i udawać, że niby to coś robią.

Z papierami w ręku poszedł do pierwszego pokoju, a za nim, jak skazana, kroczyła manipulantka. On przystanął i patrząc na zajętego pisaniem Borskiego, rzekł:

— Niech pan skończy wykaz do liczby 20.487... pan jeden pracuje tutaj uczciwie.

— Dziękuję za uznanie — uśmiechnął się Borski – ale kto za mnie odrobi? — i oczyma wskazał na plik papierów.

— Wiem, że nie pan Wilmański — zaśmiał się złośliwie przełożony — ale pan sobie poradzi... zresztą daj pan część mniej pilnych pannie Traweckiej... może zdąży.

— Eh, z tą kobiecą robotą, wolę sam się przemęczyć — i wyciągnął rękę po akta do liczby 20.487.

— Ale panie Borski... to pilne — upomniał naczelnik.

— Wiem... wiem — i przezierał wręczone mu akta.

Istotnie bardzo niewiele brakowało do wykończenia wykazu i po niespełna kwadransie odniósł gotową robotę, a przełożony zawołał z drugiego pokoju:

— Panno Trawecka, rozumie pani teraz różnicę pomiędzy robotą kobiecą a męską — a zwracając się do Borskiego dodał ciszej — te kobiety tylko zawadzają.

Trawecka pracowała dalej, tylko wypieki na twarzy świadczyły o jej wzburzeniu i doznanej przykrości. Tak liczyła na podwyższenie pensyi, a teraz, gdy przełożony da o niej złą opinię, ominie ją napewno podwyżka. Od dwóch lat pracuje w różnych biurach dyrekcyi kolei i zawsze pobiera tylko sześćdziesiąt koron na miesiąc. Inne biorą więcej, a Bronka Jaktorska, która równocześnie z nią wstąpiła, ma już obecnie sto koron! Ona jedna nie może się doczekać zwiększenia pensyi, a kto wie, czy jej nie wydalą?

Dreszcz obawy wstrząsnął nią. Co zrobi wówczas? Co pocznie matka i troje rodzeństwa? Lecz dlaczego mieliby ją wydalić? W myśli przeszła szczegóły swego zajęcia biurowego. Z wyjątkiem kilku dni, nie opuszczała godzin urzędowych, pracowała pilnie i uczciwie, a jednak... Zapach fijołków ją zalec' Spojrzała na nie zła i chmurna. Tyle wymów posłyszała z powodu tego bukiecika i co ją skusiło kupić? Nigdy już nie kupi kwiatów...

Z pokoju naczelnika doleciał siedzących stuk kroków, szelest ubierania się. Bez spojrzenia na zegarek wiedziano, że bije dwunasta, gdy przełożony wychodzi na obiad. Przyzwyczajony do ścisłego pilnowania regulaminu służby ruchu, gdzie każde zaniedbanie grozi katastrofą, tę samą metodę wprowadzić się starał i do biurowej roboty. Wszystko miało się załatwiać w oznaczonej godzinie, a nawet minucie. Regulamin ten stosował i do siebie. Pilnował też swych godzin pracy, jedzenia, spoczynku i leczenia się z pedantyczną ścisłością.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, gdy Wilmański rzuciwszy pióro, przeciągnął się i rzekł głośno:

— Spracowałem się dyabelnie.

— Pan? — spojrzał drwiąco Borski.

— A któżby? — uśmiechnął się — czy to miło siedzieć w zatęchłej budzie i słuchać zrzędzenia tej chorej małpy? Wszystko mu źle, niedokładnie, powolnie... ale nie myślę dłużej tu popasać...



»Co za rozkoszny kwiatuszek... zwiędnie tu w zaduchu, jakże mi go żal....

— I gdzież pan bryknie? — zaśmiał się złośliwie Borski.

— Swoje wyrażenia zachowaj pan dla siebie — mówił tonem obrażonym, a po chwili dodał spokojniej — wkrótce otworzy się awans, a przynajmniej podwyżka.

— A cóż to za chór urządzacie? — spytał Borski.

— Chór? jaki? gdzie?

— No, ten z inspektorem...

— Ten? — śmiał się — to prosty wybieg, aby stary nie notował spóźnienia.

— A jeśli spyta pana inspektora — dorzuciła Trawecka.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się głośno — czyż przypuszcza pani na chwilę, że on ośmieliłby się spytać? Nie, nigdy, ja znam ludzi.

— A jednak... gdyby... — upierała się Trawecka.

— Czy ja kobietą, ażebym się bał? — zaśmiał się ze swego konceptu — niech sobie skarży, notuje... nic mi nie zrobi, co najwyżej przeniosą mnie do innego biura z podwyżką pensyi.

— Bodaj to hrabska protekcya — dodał Borski złośliwie.

— Wolę z hrabiami się wdawać, aniżeli z hołotą — odparł dumnie.

— W przedpokoju — mruknął Borski.

Wilmański spojrzał złem okiem, zrozumiał bowiem przytyk, dotyczący jego ojca, który był kamerdynerem u hrabiego i już miał odpowiedzieć, gdy drzwi szybko się otworzyły i wpadł do biura młody szatyn, łysawy, niski, z ruchami żywemi wołając z progu:

— Wiecie, Schilling zrobił dziś awanturę staremu.

— Jaką? — pochwycił Wilmański.

— Dał mu onegdaj do zrobienia wykaz wagonów transito, dziś dał mu monitum, a Schilling składa akta, odnosi i powiada: jeśli ja robię pomału, może pan zrobi prędzej. Możecie domyśleć się, jaką minę miał stary, który na tem się nie zna. Zgłupiał i zagroził dyscyplinarką. I owszem, proszę o nią, bo kto zna się na rzeczy zrozumie, że taki wykaz, to nie żaden szablon.

— No i cóż dalej? — spytał zainteresowany Wilmański.

— Nie wiem, akta leżą.

— Nic mu nie będzie — odezwał się Borski - żydom u nas wszystko wolno... jeszcze go przeproszą...

— To prawda — rzekł przybyły — i wiecie, namyślam się, czyby nie zostać żydem, karyera pewna.

— Dobra myśl Stachu, jak Boga kocham — śmiał się Wilmański — to tylko źle, że masz nos zadarty, uszy małe, no i pejsów nie dochowasz się przy swej łysinie.

Zaśmiali się wszyscy, a Borski dodał z miną poważną:

— Tylko operacya jest trochę łaskotliwa w pańskim wieku.

Mężczyźni głośno się śmiali i Trawecka również, jakkolwiek nie rozumiała aluzyi. Spostrzegł to Stach i udając obrażonego, spytał:

— A pani dlaczego śmieje się z mej operacyi?

Spojrzała na niego wesołemi oczyma i powiedziała swobodnie:

— Bo to takie zabawne.

— Ale dla mnie bolesne — mówił z powagą, co rozśmieszyło mężczyzn.

— Nie wiedziałam o tem — a spostrzegłszy drwiące i ciekawe spojrzenia kolegów, zarumieniła się wbrew woli i zaczęła porządkować papiery.

— Mniejsza z tem — rzekł Stach z uśmiechem — żydem i tak nie zostanę, nie potrzebuje się pani obawiać... ale wiecie co? Mam poważną propozycyę.

— Jaką?

— Zróbmy piknik, bo głodny jestem... daję gotówką dwadzieścia halerzy — i wyjął pieniądz.

— I ja — odezwali się obaj.

— A pani? — zwrócił się Stach do Traweckiej.

I ona była głodną po lekkiej kawie z dwuhalerzową bułką, ale wobec posiadanej gotówki pięćdziesięciu czterech halerzy, wydać sumę dwudziestu na drugie śniadanie, było dla niej niemożliwością. Rumieniąc się więc, odpowiedziała:

— Nie jestem głodna.

— Ach, jakże szczęśliwe te kobiety — westchnął Stach — nie palą, nie piją, mało jedzą...

— Nie tracą pieniędzy na mężczyzn — dorzucił Borski.

— Czemuż nie jestem kobietą?—zawołał z żalem Stach.

— Uspokój się — śmiał się Wilmański — nikt za ciebie nie dałby szeląga.

Trawecka, słuchając tych słów, wspominała z goryczą, jak ciężkie ma życie, ile kłopotów z każdą sukienką, z każdym wydatkiem, ile razy trzeba głód i chłód znosić...

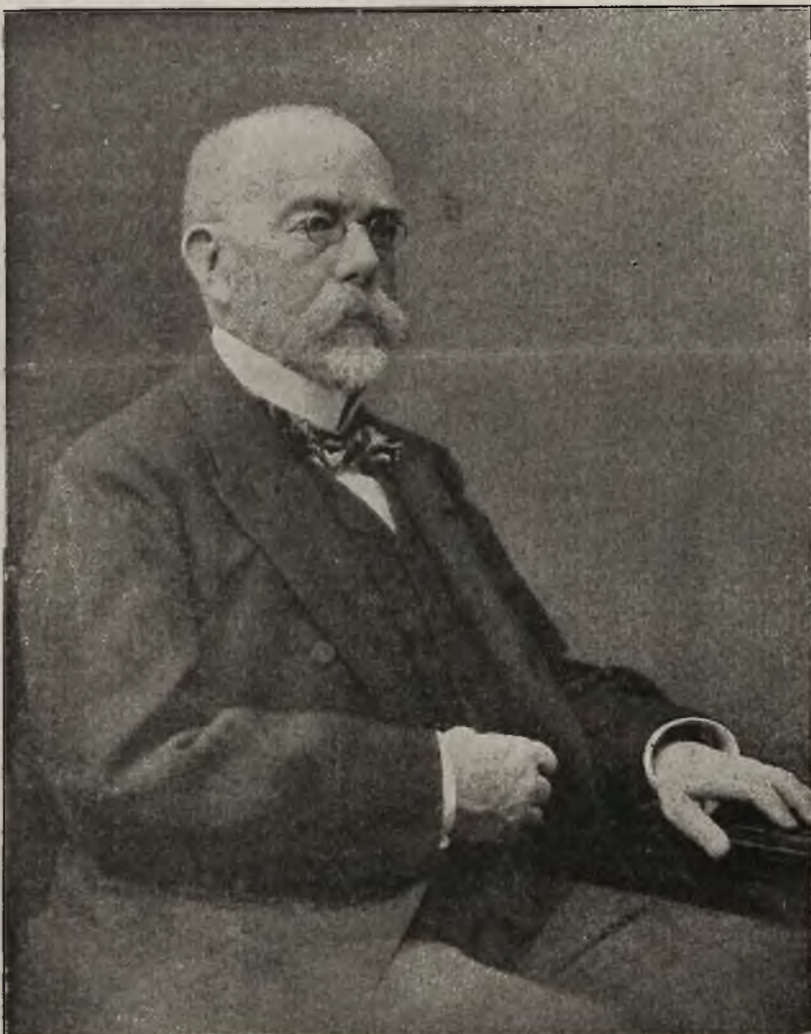
— Panowie, śniadanie, bo za pół godziny wraca dozorca...

— Więzienia — zaśmiał się Stach — delegujmy Wilmańskiego po prowiant.

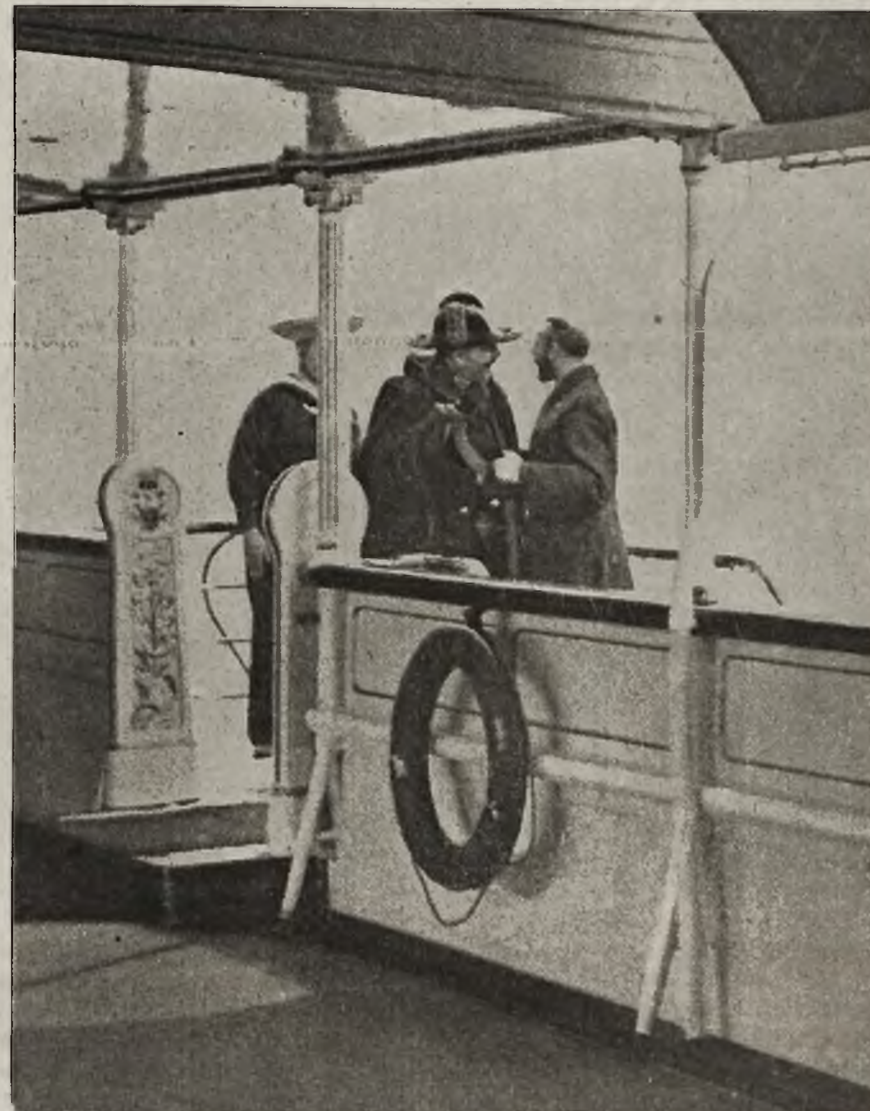
(Ciąg dalszy nastąpi).

Zwalczanie choroby snu.

Przed kilku laty poczęły się rozchodzić po świecie zatrważające wieści o nowej zarazie, nie mniej strasznej od wszystkich dotychczasowych. kłujące muchy *Glossina palpalis* które po ukłuciu chorego zabierają z sobą zarazki i przenoszą na ludzi zdrowych. Objawy wstrzykniętego już przez muchy zarazka okazują się bardzo późno, wskutek czego dotknięci nią nie mogą leczyć się odrazu,



Zwalczanie choroby snu: Słynny uczony profesor dr. Robert Koch.



Z pobytu Wilhelma II. w Anglii: Cesarz Wilhelm II. wraz z ks. Walii na pokładzie »Hohenzollerna«.

Nawet dżuma lub cholera nie przedstawiają się groźniej od okropnej choroby snu, szerzącej się obecnie masowo w niemieckich posiadłościach w Afryce. Rząd pruski, chcąc zaradzić złemu, a zwłaszcza nie dopuścić, by ten „śmiertelny sen“ przeniósł się do Europy przez przybywających z Afryki niemieckich urzędników, wydelegował profesora Roborta Kocha do zbadania na miejscu tej choroby.

Kilka dni temu, po półtorarocznym pobycie w Afryce, prof. Koch powrócił do Europy. Badania swoje początkowo przedsiębrał w miejscowości Shirati, a potem na skalistych wysepkach Sesse, które są jednem z ognisk zarazy. Chorobę tę szerzą a zarazki tymczasem czynią spustoszenia w organizmie. Główną zasługą Kocha jest odkrycie metody w rozpoznawaniu tej choroby, przed wystąpieniem jeszcze jej objawów i wynalezienie zapobiegawczych środków. Stwierdził nadto prof. Koch, iż muchy te żywią się przeważnie krwią krokodyli, wysysając ją z miękkich rowków ich pancerza.

Prof. Koch, który niespożyte już położył zasługi w medycynie przez odkrycie bakteryi gruźliczych i lasecznikow cholery, znowu przysłużył się znakomicie nękanej coraz to nowemi chorobami ludzkości. O prof. Kochu pisaliśmy już swego czasu, gdy został laureatem nagrody Nobla.



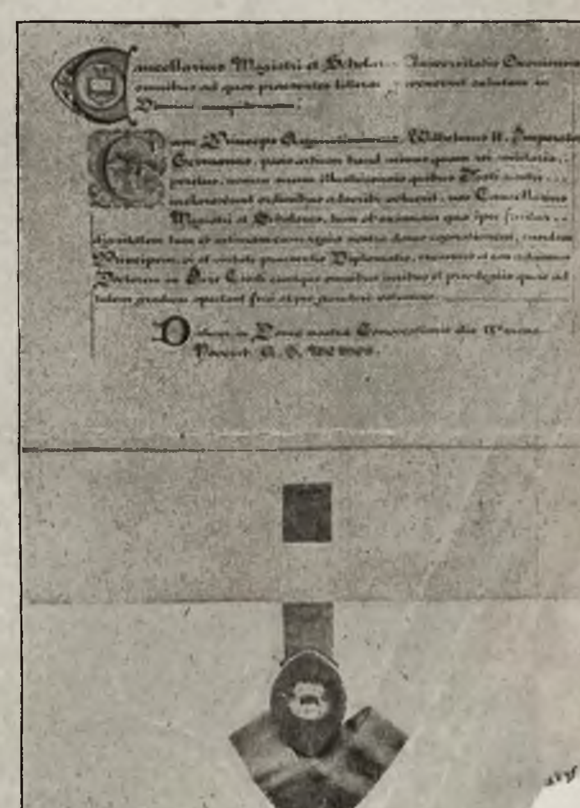
Z pobytu Wilhelma II. w Anglii: Cesarz Wilhelm i ks. Walii w przystani Portsmouth.

Z pobytu Wilhelma II. w Anglii.

Z powodu pobytu niemieckiej pary cesarskiej w Anglii, dzienniki tamtejsze przynoszą różne szczegóły o etykiecie, jaka zapanowała na dworze Edwarda VII wraz ze zjawieniem się ukoronowanych gości. Cesarz Wilhelm zamieszkał wraz z małżonką we wspaniałym zamku Windsorze. Jest to rezydencya królów angielskich, którzy właśnie w tej siedzibie przyjmowali zawsze najdostojniejszych swych gości. Królowa Wiktorya przyjmowała tutaj między innymi europejskimi władcami, cesarza rosyjskiego Mikołaja I, króla francuskiego Ludwika Filipa i cesarza Napoleona III. Obecnie w historycznych tych komnatach rozgościł się cesarz Wilhelm.

Do liczby różnych uroczystości, jakie odbywały się w Windsorze na cześć niemieckich gości, należało i przyjęcie delegacyi uniwersytetu oxfordzkiego, który mianował Wilhelma II doktorem prawa cywilnego *honoris causa*. Dnia 15 b. m. zjawili się w Windsorze kanclerz Uniwersytetu lord Curzon, wicekanclerz dr. Warren i trzynastu profesorów, wszyscy w strojach historycznych swego urzędu i wręczyli cesarzowi dyplom doktora *of Civil Law*. Dyplom ten, pisany na bogato ozdobionym pergaminie, podano w srebrnej szkatułce, przewiązanej wstążką ciemnoniebieską, tj. w kolorach uniwersytetu. Cesarzowi Wilhelmowi do wielu już jego przydomków, przybywa teraz jeszcze nowy — honorowego znawcy angielskich praw cywilnych.

Oprócz tego dyplomu i adresu kupców londyńskich, cesarz Wilhelm nie wywiezie z Anglii żadnych korzyści dyplomatycznych. Cały ten zjazd nosił charakter ściśle rodzinny, odwiedzin kuzynowskich. Zamiast roztrząsaniom politycznym, poświęcono czas polowaniom, wycieczkom i różnym rozrywkom, do liczby których należały i zdjęcia fotograficzne. Jedno z dokonanych tam zdjęć przejdzie do historyi, przedstawia ono bowiem grupę ośmiu głów koronowanych. Widzimy tam królów angielskiego Edwarda i hiszpańskiego Alfonsa, cesarza Wilhelma z małżonką i cztery królowe, a mianowicie angielską, hiszpańską, portugalską i norweską. Nie-



Z pobytu Wilhelma II. w Anglii: Dyplom ... oksfordzkiego, wręczony Wilhelmowi I...

mniej interesującem jest i drugie zdjęcie, dokonane na polowaniu w chwili, gdy cesarz Wilhelm składa się do strzału, trzymając sztuciec w jednej



Z pobytu Wilhelma II. w Anglii: Królowa hiszpańska, Edward VII., cesarzowa niemiecka, Wilhelm II., królowa angielska, królowa portugalska, Alfons XIII. i królowa norweska.

tylko ręce. Jak wiadomo bowiem, cesarz niemiecki pozbawiony jest zupełnie władzy w lewej ręce, która zwiesza się bezwładnie. Mimo to bierze on zawsze udział we wszelkich polowaniach i konnych wycieczkach, dając sobie radę prawą ręką. Wada ta, którą cesarz niemiecki starannie ukrywa, dotknęła szczęśliwym dla niego trafem mniej ważnego organu. Wilhelm II. ucierpiałby niewątpliwie bardziej, gdyby stracił władzę w języku.

Dom akademicki we Lwowie.

Polska młodzież akademicka we Lwowie, święciła w sobotę 16 b. m. wielkie święto. Dnia tego bowiem odbyło się o godzinie 3 po południu poświęcenie nowo wybudowanego Domu akademickiego, który dzięki ofiarności prywatnej i publicznej, stanął na gruntach hr. Skarbkowej przy ulicy Senatorskiej, tuż obok pomnika wielkiego naszego komedyopisarza Aleksandra hr. Fredry.

Jest to trzypiętrowy wielki gmach; główne wejście, nad którem się mieści wielki polski orzeł, całe pokryte pięknemi malowidłami o motywach ludowych. Takie same malowidła o podkładzie zakopiańskim, widać w czytelni i jadalni. Ta ostatnia mieści się w suterynach, a tuż obok niej są: kuchnia, sala szermierki i łazienki. W parterze mieszczą się duża, bogato wyposażona czytelnia, jeszcze bogatsza biblioteka i pokoje dla pojedynczych stowarzyszeń.

Na trzech piętrach mieści się 74 pokoi, mogących pomieścić 130 lokatorow, oprócz tego w gmachu tym znajdą pomieszczenie trzy największe lwowskie stowarzyszenia akademickie, a to: „Czytelnia akademicka“, „Bratnia pomoc słuchaczów wszechnicy lwowskiej“ i „Chór akademicki“.

Aktu poświęcenia, na który przybyli namiestnik hr. Potocki, marszałek krajowy Stanisław hr. Badeni, lwowska Rada miejska z prezydentem Ciuchcińskim na czele, oraz



Z pobytu Wilhelma II. w Anglii; Cesarz Wilhelm na polowaniu w Windsorze, strzela przy pomocy jednej zdrowej

liczni inni dygnitarze i reprezentanci towarzystw, dokonał ks. biskup Bandurski.

Wieczorem tegoż dnia odbył się w wielkiej sali nowo poświęconego Domu piękny raut, zakończony zabawą taneczną.

Proces przeciw arcyksiężnej.

Sensacyjny proces toczył się niedawno przed wiedeńskim najwyższym urzędem marszałkowskim. Sensacyjność tego procesu polega w tem przedewszystkiem, iż stroną pozwaną jest arcyksiężna Klotylda,



Proces przeciw arcyksiężnej: Radca ces. dr. Ebers.

wdowa po arcyks. Józefie, oraz pięciu innych członków domu cesarskiego, spadkobierców arcyks. Józefa. Pozwał ich dr. Henryk Ebers, znany lekarz, były dzierżawca i kierownik zakładu zdrojowego w Cirkwenicy, o odszkodowanie w kwocie 828.000 koron.

Geneza tej sprawy jest następująca. Zmarły arcyks. Józef wydzierżawił Cirkwenicę dr. Ebersowi dożywotnio. Skutkiem tego wziął się dr. Ebers energicznie do zorganizowania pierwszorzędnego, prawdziwie europejskiego miejsca kąpielowego, włożył w przedsiębiorstwo znaczne sumy i doprowadził je do wspaniałego rozwoju. Po śmierci jednak arcyksięcia, spadkobiercy widząc rentowność zdrojowiska, wymówili dr. Ebersowi dzierżawę i objęli cały zakład wraz z inwentarzem we własny za-



Fot. M. Münz, Lwów.

Dom akademicki we Lwowie: Gmach domu akademickiego przy ul. Senatorskiej we Lwowie.

rząd. Tego rodzaju krok ze strony kilku członków domu cesarskiego uznał rodak nasz, dr. Ebers, za wysoce go krzywdzący i celem odzyskania pieniędzy, włożonych w urządzenie Cirkwenicy, wytoczył im proces cywilny.

Pierwsza rozprawa, tzw. ugodowa, odbyła się przed kilku dniami. Ze strony skarżącego zjawili się adwokaci dr. Józef Zipser z Wiednia i dr. Barański z Budapesztu; imieniem pozwanych zaś wystąpił radca rządowy dr. Bachrach. Propozycyę pozwanych o przyjęcie 41.000 k. tytułem odstępnego odrzucił dr. Ebers *a limine*, wobec czego pertraktacye ugodowe uznano za zamknięte, a dalszy ciąg procesu będzie się toczyć — jak określają przepisy — na drodze pisemnej.

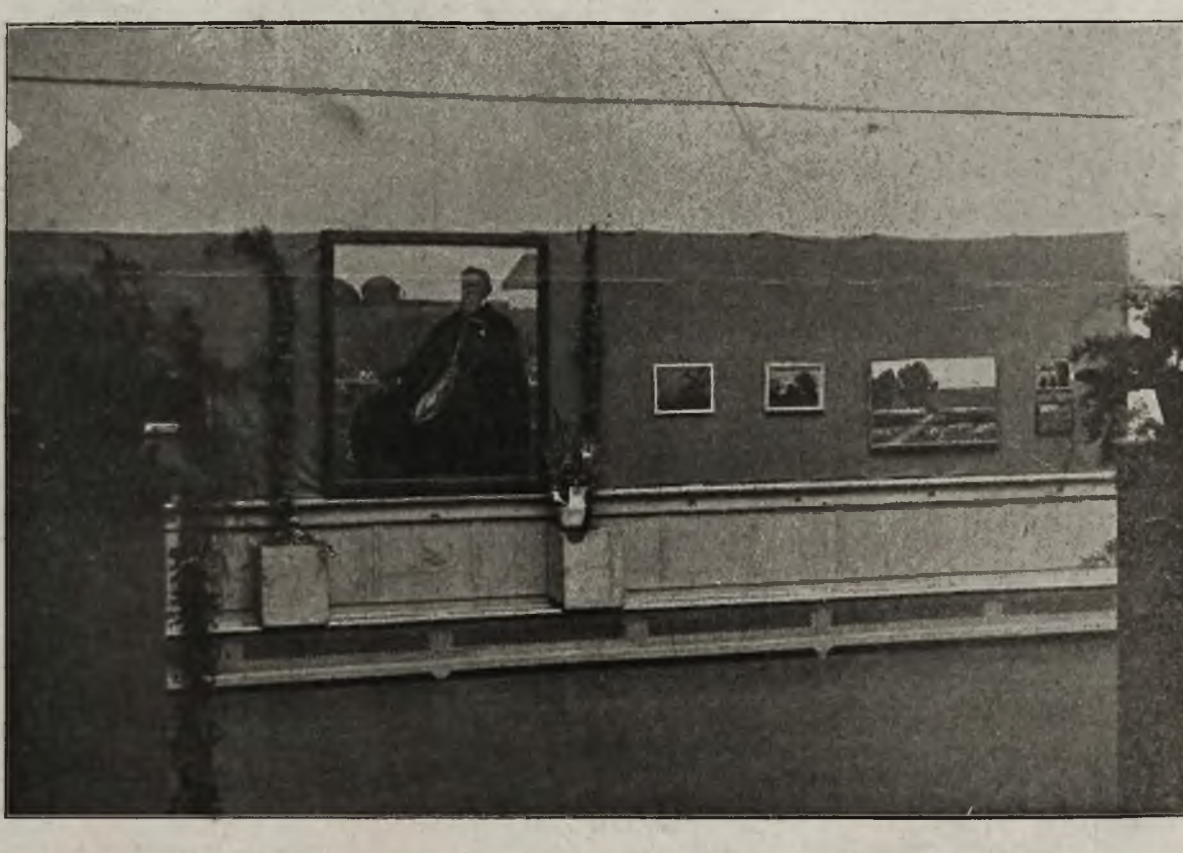
Wystawa szkoły prof. Stanisławskiego.

Krakowski Salon Sztuk Pięknych stał się na pewien czas istotnym salonem, odkąd zagościło w nim wytworne towarzystwo ś. p. prof. Jana Stanisławskiego. Zespoleni jedną myślą przewodnią, choć różni talentem i indywidualnością artyści, stanowiący to grono dobrane, przedstawili nam możną spuściznę ś. p. mistrza swego i dorobek własny, jakiego dochowali się pod opieką kierownika swego. Ogląda więc Kraków dawno niewidziane bogactwo artystyczne, podziwia zawarte w szczupłych ramach arcydzieła pejzażu polskiego. Z wszystkich płócien, rozwieszonych na ścianach „Salonu“, wieje jeden duch ukochania sztuki, wczucia się w temat jaki artysta chciał przedstawić. Nie przyglądamy się efektowności tematu, lub błyskotliwości wykonania przedstawionych prac, odczuwamy natomiast przy



Proces przeciw arcyksiężnej: Arcyksiężna Klotylda, wdowa po arcyksięciu Józefie.

każdem płótnie wrażenie, jakie każdy krajobraz wywołuje na obojętnym widzu. Polak tylko mógł tak namalować polski krajobraz, bo malował go nietylko pędzlem i farbą, ale i polskiem ukochaniem ziemi, zrozumieniem i wsłuchaniem się w słowa ziemi, które ona szepce każdemu, kto tylko jej słucha. I widzimy Stanisławskiego „Dniepr“, jak płynie po przez cichy, smętny step i wysmukłe „Topole“ nad stawem i „Łąkę“ w lipcu, pożółkłą od słońca, porosłą drobnemi kwiatkami. Trudno wyliczać wszystkie dzieła tak samego mistrza, prof. Stanisławskiego, jak i uczniów jego, wymienimy więc tylko wysuwające się na pierwszy plan Szczyglińskiego „Kościół OO. Dominikanów“, Kuczborskiego „Staw“, Karszniewicza „Droga“, Szygella „Wisła“, każde jednak z wystawionych płócien wywiera głębokie



Wystawa szkoły prof. Stanisławskiego: Fragment głównej sali z portretem śp. prof. Stanisławskiego, pędzla Nesterowa.



Wystawa szkoły prof. Stanisławskiego: Boczna sala wystawy z jej kierownikiem, p. Szczyglińskim.

wrażenie. Należy iść i patrzeć, by można było pojąć zupełnie całą spuściznę Stanisławskiego i wpływ, jaki wywarł na najzdolniejszych pejzażystów polskich.

Zamordowanie męża.

Przed paru laty wyjechał do Ameryki za zarobkiem Antoni Jagieła, gospodarz ze wsi Ochotnicy, położonej w okolicy Krościenka nad Dunajcem, miejscowości znanej ze swych źródeł leczniczych. W domu zostawił młodą żonę Maryannę, powierzając jej opiece gospodarstwo domowe. Żal mu było opuszczać ziemię po ojcach odziedziczoną, żal opuszczać żonę ukochaną, a młodą, ale bieda zaglądała do jego nędznej chaty i szczerzyła zęby bezlitośnie, więc Jagieła musiał być głuchym na głos serca i — choć z bolem — rozstać się z tem, co miał najdroższego. Pojechał. Wrócił dopiero pod jesień tego roku, stęskniony, spracowany, ale z pokaźną sumą uzbieranego grosiwa. Cieszył się więc nadzieją przyszłego szczęścia i dobytku w domu, cieszył się nadzieją pogodnego i spokojnego pożycia z żoną.

Cieszył się, bo nie wiedział, jaka zmiana zaszła w tym czasie w usposobieniu i sercu żony jego, bo nie wiedział, że ta niewdzięcznica zawiązała z innym gospodarzem, Stanisławem Kwitem, karygodny stosunek miłosny. Oczywista rzecz, że powrót męża był kochankom bardzo nie na rękę. Aby więc dalej bez przeszkód żyć w bezbożnej miłości, umyślili oboje pozbyć się Jagieły za wszelką cenę, choćby za cenę zbrodni.

Pewnego dnia nad ranem, a było to w pierwszej połowie listopada, wybrał się Jagieła na jarmark do Nowego Targu. Kwit, wiedząc o tem, oczekiwał go w lesie, zwanym Jaszcze, z olbrzymim drągiem w ręku; drągiem tym kilkakrotnie ugodził w głowę nadchodzącego Jagiełę. Jagiele towarzyszyła żona pod pozorem odprowadzenia go, a w istocie po to, aby Kwitowi być pomocną przy zatarciu śladów zbrodni. Zadanie to spełniła z całą gorliwością i potem z kochankiem wróciła do domu.

Cały tydzień trup leżał w lesie, dopiero ogólne zaniepokojenie długą nieobecnością Jagieły, skłoniło tamtejszego żandarma W. Uruskiego do przedsięwzięcia energicznych poszukiwań, które zakończyły się znalezieniem strasznie zeszpeconych zwłok Jagieły, ukrytych w gęstwinie. Porzucony drąg i inne poszlaki naprowadziły żandarma na tropy Kwita i Jagiełowej, u których po przeprowadzeniu rewizyi, natrafił na rozmaite części skrwawionej odzieży i których naturalnie przyaresztował.



Fot. p. Dziewolski, Krościenko.
Zamordowanie męża: Stanisław Kwit.



Fot. p. Dziewolski, Krościenko.
Zamordowanie męża: Maryanna Jagiełowa.



Fot. p. Dziewolski, Krościenko.
Zamordowanie męża: Brat zamordowanego z żoną.



Fot. p. Dziewolski, Krościenko.
Zamordowanie męża: Sekcya zwłok śp. Jagieły, w obecności komisyi sądowo-lekarskiej.

L. de Laëre.

Tajemnica „Czerwonego Stawu".

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

10 (Ciąg dalszy).

— Niech się pan uspokoi. To był zwykły przypadek. Nikt panu zarzucić nic nie może, bo wypełniłeś swój obowiązek gorliwie i sumiennie. Widziałeś się pan już z dyrektorem policyi?

— Tak jest. Nie czynił mi żadnych wymówek, choć widziałem, że miał ochotę.

— Policya potrzebuje pana, panie Jaime, co świadczy o zdolnościach pana i sprycie. Jednakowoż, gdyby depesza, wysłana przez pana, nadeszła dziesięć minut później, byłoby już zapóźno. Pan wie, wiele to czasu i trudu u nas potrzeba, by zrehabilitować niewinnie zasądzonego.

— To prawda, ale nie mogłem wcześniej tego uczynić, bo niewiedziałem nawet, że w dniu tym sprawa Gibier ma być ostatecznie rozpatrywana. Dopiero przypadkowo dowiedziałem się o tem z dziennika. Ale pan sędzia wierzy teraz w niewinność oskarżonego, nieprawdaż?

— O tak, z całem przekonaniem. Przyznaję, że dałem się zwieść potępiającym okolicznościom, a przytem byłem silnie poruszony śmiercią tej biednej Julki de Trèves i pragnąłem gorąco pomścić ją jaknajprędzej. Zamierzam jednak jeszcze oskarżonego poddać ostatecznej, decydującej próbie. Przekonaliśmy się bowiem naocznie w tej tajemniczej sprawie, jak bardzo należy być ostrożnym. Każę natychmiast wprowadzić tutaj oskarżonego Gibier i skonfrontujemy go z tym porucznikiem Stewardem.

Mówiąc to zadzwonił i wydał woźnemu stosowny rozkaz. Po chwili wszedł do biura Klemens Gibier, prowadzony przez więziennego dozorcę.

— Usiądźcie tutaj — rzekł życzliwie Davricourt wskazując starcowi krzesło.

Prawie równocześnie otworzyły się drzwi główne i prowadzony przez dwóch żandarmów, wszedł krokiem pewnym i śmiałym porucznik Stevard, kochanek kreolki Ludmiły.

Na odgłos otwierających się drzwi, Klemens Gibier podniósł głowę. Pierwsze wrażenie, jakie się odbiło na jego wynędzniałej twarzy, było zdziwienie, poczem powstał, przenikliwe spojrzenie utkwił w twarzy nowoprzybyłego i zawołał:

— To on! to on! Kramarz wędrowny!

Sędzia Davricourt i Jaime zamienili ze sobą porozumiewające spojrzenia. Próba odniosła pożądany skutek.

— Można odprowadzić oskarżonego Klemensa Gibier — rozkazał sędzia.

Starzec, bez oporu, osłupiały prawie, dał się wyprowadzić ze sali. Na rozkaz sędziego, żandarmi również się oddalili. W pokoju pozostał tylko p. Davricourt, detektyw Jaime i porucznik Steward.

— No i cóż, mój zuchu — odezwał się ironicznie sędzia śledczy — daliśmy się ułowić jak rybka.

— Nie rozumiem słów pana — odparł swobodnie porucznik. Niech mi pan wierzy, że cała ta historya jest wysoce dla mnie komiczną.

— Zechciej pan swoje spostrzeżenia zachować dla siebie — rzekł surowym głosem pan Davricourt — i odpowiedz mi, gdzie poznałeś tego człowieka?

— Ależ panie sędzio, ja tego człowieka widziałem po raz pierwszy.

— Kłamiesz pan! Klemens Gibier pana poznał. Ostrzegam, że bawi się pan w niebezpieczną grę. Niechcesz pan mówić? A więc ja panu wytłómaczę. Pan się z tym człowiekiem spotkałeś 12 czerwca, u...

— Ah! więc jeszcze o to chodzi. Niech się pan sędzia nie trudzi, wiem, co pan ma mi powiedzieć. Chyba pan nie może wymagać odemnie, abym się przyznawał do rzeczy, której nie popełniłem.

— Dlaczego więc pan chciałeś uciekać z kraju?

— Szczególna rzecz! Czy nie mogę mieć osobistego powodu! Wspomniałem przecież temu panu, że jestem dezerterem i jedynie z tego powodu starałem się stąd wyjechać, aby nie wpaść w jaki konflikt z władzą wojskową. Zdaje się jednak, że jestem ofiarą pomyłki. Może moje podobieństwo do prawdziwie winnego wbłąd panów wprowadza?

— Jakie nazwisko nosiłeś pan w chwili opuszczenia służby wojskowej?

— Tego nie mogę powiedzieć dla osobistych względów.

— Nazywałeś się pan Valbreque — ciągnął dalej sędzia. Pan to zamordowałeś męża pani de Trèves, a potem ją samą podstępnie pozbawiłeś życia.

— Skoro pan sędzia jest tak dobrze poinformowany — odpowiedział zimno oskarżony — niemam nic więcej do powiedzenia.

— Zostanie pan przedstawiony osobom, które niegdyś znały pana i których zeznania będą dla pana fatalne! Ostrzegam więc pana raz jeszcze. Porzuć szkodliwą dla siebie taktykę przeczenia wszystkiemu, bo to tylko pogorszy sprawę.

— Dziękuję panu sędziemu za jego radę, ale skorzystać z niej nie mogę — odpowiedział chłodno porucznik Steward, przyczem skłonił się poważnie sędziemu.

Na spokojnej twarzy p. Davricourt odmalowało się silne zniecierpliwienie.

Powstał i otworzył drzwi, wiodące na kurytarz.

— Odprowadzić więźnia — rozkazał ostro.

Po wyjściu porucznika Stewarda, sędzia Davricourt długą chwilę chodził w milczeniu po swojej kancelaryi.

— Trudna będzie z nim sprawa — rzekł wkońcu. Ten człowiek do ostatka przeczyć będzie wszystkiemu. Lękam się, czy nie odniesiemy porażki.

— Mam sposób na to, aby bezwiednie przyznał się do wszystkiego — odparł Jaime. Jestto co prawda sposób nielegalny, ale czy w takim wypadku namyślać się trzeba?

— Mów pan — zawołał zdziwiony sędzia.

— Możnaby tego ptaszka zahypnotyzować!

— Zahypnotyzować? Ależ to jest prawnie wzbronione! A przytem któżby się tego podjął?

— Ja — rzekł spokojnie detektyw. Znam się cokolwiek na tem, a ten nędznik wydaje się być szczególnie do tego podatnym. Czy nie zauważył pan sędzia jego nerwowych, niespokojnych ruchów?

— Jakże pan myśli to uczynić? Jakim sposobem wydobędziesz od niego zeznanie?

— Zaprowadzę go na miejsce, gdzie zbrodnia dokonaną została i rozkażę mu uczynić to, co uczynił w nocy 12 czerwca.

— Ależ to dzieciństwo!

— Tak pan sędzia sądzi? Daj mi pan tylko wolność działania na własną rękę, a przekonam pana, że dojdę do zamierzonego celu.

— A jeżeli on panu ucieknie?

— Oh! panie sędzio! — zawołał z wyrzutem detektyw.

— A więc czyń pan co zechcesz, oddaję więźnia w ręce pana. Oto rozkaz dla dyrektora więzienia, aby nie czynił panu żadnych trudności. Kiedy zamierza pan rozpocząć swoje doświadczenia...

— Za trzy dni. Gdy ręka moja zupełnie się zagoi.

— A więc w czwartek rano oczekuję pana u siebie — rzekł sędzia podając rękę detektywowi.

ROZDZIAŁ XXI.

Noc zbrodni.

To, o czem zamierzamy pisać, wydać się może nieprawdopodobnem, lub przesadzonem, jednakże są to rzeczy dawno zbadane przez sławnych lekarzy i uznane za prawdziwe i wiarygodne, choć nie pozbawione pewnej tajemniczości. O hypnotyzmie pisano u nas wiele, a nawet słynny lekarz Charcot, wydał osobną, bardzo wyczerpującą broszurę, udawadniającą, że hypnotyzm w wypadkach nadzwyczajnej nerwowości u chorych, może być przystosowany jako pomoc lecznicza. Wszak głośne są wypadki, że za pomocą suggestyi uzdrawiano na pozór nieuleczalnie chorych — chorych z urojenia. Pod wpływem suggestyi, człowiek normalny traci nawet świadomość i daje sobą powodować jak nieletnie dziecko. Człowiek zahypnotyzowany zdolny jest dopuścić się najohydniejszej zbrodni, jak również wyjawić starannie ukrywaną tajemnicę.

Przez kilka dni detektyw Jaime spędzał długie godziny w celi uwięzionego porucznika. Rozmawiał z nim dużo, życzliwie, dając mu do zrozumienia, iż nabiera przekonania o jego niewinności. W ten sposób mógł dokładnie zbadać charakter i usposobienie więźnia i przekonać się o jego nadzwyczajnem przeczuleniu nerwowem. Pewnego wieczora drzwi do celi więziennej, zajmowanej przez Stewarda, otworzyły się. Weszło trzech mężczyzn. Jeden z nich przybliżył się do tapczanu, na którym spoczywał więzień i dotknął silnie jego ramienia. Ale Steward się nie poruszył.

— Dobrze idzie — rzekł nieznajomy do swoich towarzyszów. Lekarstwo odniosło pożądany skutek. Dalej do roboty.

Dwóch ludzi uniosło ostrożnie ciągle uśpionego więźnia i złożyło w dorożce, oczekującej przed bramą więzienną. Powóz razem z nieznajomymi potoczył się w stronę Fontenay i wioski Robinson. Przed małą oberżą, na drodze, prowadzącej do Czerwonego Stawu, tajemniczy powóz zatrzymał się. W drzwiach oberży stał żandarm.

— Jestem brygadyer Jaime — rzekł jeden z podróżnych, podchodząc do niego. Otrzymaliście rozkaz, nieprawdaż? Gdzie jest wasz towarzysz?

— W oberży, panie brygadyerze — ale otóż i on.

Jaime pociągnął na bok obu żandarmów i mówić do nich zaczął szybko:

— Niemamy chwili do stracenia. Jest już godzina 9-ta. Chodzi o rzecz bardzo ważną — znacie oberżystę Ullmana z oberży pod Złotem strzemieniem.

— Tak jest, brygadyerze!

— Trzeba tego człowieka usunąć z jego lokalu, przynajmniej aż do godziny dwunastej — rozumiecie?

— Brygadyerze, cóż z nim zrobić mamy?

— To już jest wasza rzecz. Możecie go do jutra przytrzymać w waszem towarzystwie.

— A mały Loriot?

— To was nie obchodzi. No dalej! Do roboty!

Żandarmi oddalili się, a detektyw Jaime powrócił do towarzyszy, oczekujących na niego przy powozie.

W tej samej chwili we drzwiach gospody stanął właściciel, rosły, barczysty chłop.

— Ah! jesteście przyjacielu — rzekł Jaime. Wiecie, jak zostało między nami umówione. Dom wasz należy do mnie, aż do jutra. Umieśćcie konie w stajni i idźcie spać.

Wkrótce przeniesiono więźnia do małego pokoju, znajdującego się obok głównej sali, a Jaime rozkazał towarzyszącym mu ajentom złożyć uśpionego na łóżko.

— Teraz możecie odejść — rzekł detektyw — ale nie oddalajcie się daleko. A ty, Pluck! przywołaj mi zaraz Larpenteura.

Po chwili ajent Larpenteur, przebrany za dorożkarza, w dużym płaszczu z peleryną i pół cylindrze stawił się na rozkaz swojego przełożonego.

— Larpenteur, udasz się do Białego Domku i uprzedzisz Rózię, że o godzinie jedenastej będzie nam potrzebna. Niechże się dobrze przygotuje do odegrania swojej roli. Potem udasz się do oberży pod Złotem Strzemieniem i dasz mi znać umówionym znakiem, czy Ullmana już tam niema.

— Dobrze, panie brygadyerze — odpowiedział Larpenteur wychodząc.

Upłynęło pół godziny. Ciemna, chmurna jesienna noc, zapadała powoli. Z nad moczarów Czerwonego Stawu napływały gęste kłęby białej, wilgotnej mgły. Detektyw Jaime, wsparty w otwartem oknie, spoglądał w dal, od czasu do czasu jednak obrzucając bystrem spojrzeniem więźnia, uśpionego na łóżku. Dziesiąta godzina wybiła na wieży pobliskiego kościoła. Równocześnie ostry, donośny świst przedarł powietrze. Detektyw zadrżał. Zamknął okno, wydobył z kieszeni małą flaszeczkę z jakimś białawym płynem i podsunął ją pod nos uśpionego. Prawie natychmiast poruszył się tenże i powieki jego drgnęły kilkakrotnie.

— Gdzież jestem? — wyrzekł słabym głosem, oglądając się wokoło.

Jaime popatrzył bystro w oczy mniemanemu porucznikowi Steward.

— Znajdujesz się pan w Robinson — rzekł brutalnie — w tem samem miejscu, gdzie popełniłeś zbrodnię, o którą cię posądzają.

Wrażenie było nadspodziewane. Steward zbladł nagle, a po ciele jego przebiegł dreszcz konwulsyjny.

— Dlaczegoż więc mnie pan tu przyprowadziłeś? — zapytał, usiłując nadać głosowi naturalne brzmienie.

— Żeby panu dać możność ucieczki — odrzekł Jaime.

— Pan chyba żartuje?

— Ani myślę; wierzę w pańską niewinność i chcę pana o tem przekonać. Czy pan nie widzi, że mówię z panem zupełnie poważnie?

— W New-Yorku mówiłeś pan także poważnie.

— W New-Yorku niewiadome mi były niektóre rzeczy, o których dowiedziałem się po przyjeździe tutaj i które wykazały moją pomyłkę.

— A więc rzecz jest zupełnie jasna; chcesz

mnie pan ratować, a więc uwolnij mnie pan zaraz.

— Jeszcze nie. Musisz mi pan dopomódz do odszukania winnego.

— I cóż mam uczynić?

— Pójdzie pan ze mną do domu, w którym zbrodnia dokonaną została.

Steward powstał. Zdziwienie jego było tak wielkie, iż nie przyszło mu na myśl zapytać detektywa, jakim sposobem został nagle przewieziony z więzienia do tego nieznanego domu.

— I w jakim celu chce mnie pan tam zaprowadzić? — zapytał z lekkiem drżeniem w głosie.

— Dowie się pan za chwilę. Więc się pan zgadzasz iść ze mną?

— Nie — odpowiedział ostro więzień.

Od chwili już Jaime nie spuszczał oka ze swego towarzysza. Pod tym uporczywym i przenikliwym wzrokiem, twarz porucznika mienić się zaczęła i jakby pociągnięta niewidzialną a tajemniczą siłą, głowa jego coraz to niżej ku detektywowi słaniać się poczęła. Nagle poruszył ciężko ramionami, jakgdyby chciał zrzucić z siebie jakiś ciężar gniotący go, a na twarzy jego odbiły się pomięszanie i trwoga. Po chwili powieki jego drgnęły kilka razy nerwowo, a całe ciało jego wyprężyło się gwałtownie. Porucznik Steward zasypiał. Detektyw Jaime zbliżył się do niego i delikatnie ręką przesunął mu po oczach. Nagle Steward powstał i nerwowo zaczął przebiegać pokój. Detektyw Jaime stanął przed nim i bystro spojrzał mu w oczy. Uśpiony stanął, twarz jego przybrała zwyczajny wyraz, tylko w oczach jego zasnutych mgłą, widniał dawny lęk i pomięszanie. Detektyw postąpił ku drzwiom, więzień ulegle poszedł za nim. Jaime otworzył drzwi i wyszedł. Steward również podążył w jego kierunku. Przed domem stali obydwaj ajenci, którzy nieznacznie przyłączyli się do idących. Wszyscy skierowali swe kroki w stronę Białego domu. W cieniu wielkiego drzewa Jaime dostrzegł Larpenteura; przywołał go gwizdnięciem.

— Czy wszystko gotowe? — zapytał przyciszonym głosem.

— Tak jest panie!

— Każ dobrze strzedz drogi, wiodącej od Czerwonego Stawu.

Ajent wydał natychmiast żandarmom stosowny rozkaz, a Jaime skierował się ku oberży starego Ullmana. Przed samemi drzwiami zatrzymał się i wstrzymał również ręką idącego ciągle za nim w uśpieniu Stewarda.

— Posłuchaj mnie pan — rzekł wyraźnym i donośnym głosem. Dwunastego czerwca o tej samej godzinie znajdowałeś się pan tutaj. Wszedłeś pan do oberży pod Złotem Strzemieniem w towarzystwie starego Klemensa Gibier, wypiliście parę szklanek wina, poczem pan wyszedłeś sam. W lasku, niedaleko Czerwonego Stawu, spotkałeś pan służącą Żanetkę, rzuciłeś się na nią, udusiłeś i zawlokłeś w trzęsawisko... Potem udałeś się do mieszkania pani de Trèves. Nieszczęśliwą tę kobietę zastałeś leżącą w łóżku; skorzystałeś z jej snu i bezbronności i w okrutny sposób zamordowałeś ją kilkakrotnem pchnięciem noża. Czy rozumiesz mnie pan?

— Rozumiem — odpowiedział Steward.

— A więc rozkazuję ci uczynić raz jeszcze to samo, czego się wtedy dopuściłeś.

— Steward, który jak się okazuje, był szczególnie podatnem i wrażliwem medyum, pod silnym wpływem detektywa utracał stopniowo świadomość rzeczy i wolę. Bez wahania się, jak automat, wypełnił jego rozkaz. Pewnym i śmiałym krokiem podszedł do stolika, przy którym usiadł. Na rozkaz Larpenteur usiadł naprzeciw niego, a mały Loriot przyniósł butelkę wina i dwa kieliszki, które postawił przed siedzącymi. Jaime śledził bacznie każdy ruch więźnia. Dostrzegł, jak tenże wsunął rękę do kieszeni i uczynił ruch, jak gdyby coś z niej wyjmował, poczem ów przedmiot wrzucił ostrożnie do szklanki swego towarzysza. Po ustach detektywa przebiegł tryumfujący uśmiech. Steward zdradzał się nieświadomie. Po chwili uczynił ruch, symulujący płacenie, poczem skierował się ku wyjściu. Jaime i Larpenteur pospieszyli za nim. Porucznik Steward szedł drogą do Chatenay i skierował się na ścieżkę, wiodącą do Czerwonego Stawu. Znalazłszy się na brzegu lasku, przeskoczył duży rów, napełniony wodą, i skrył się w cieniu dużego dęba. Po chwili wychylił głowę, jak gdyby nadsłuchując. Upłynęła chwila straszna dla świadków tej sceny. Nagle nędznik jednym susem znalazł się na drodze i uczynił ruch, jak gdyby kogoś chwytał pod gardło. Po chwili zadyszany i zmęczony wlókł swój imaginacyjny ciężar ku rdzawym wodom trzęsawiska. Detektyw i jego pomocnik biegli za nim i ukryci za drzwiami, śledzili dalej ruchy uśpionego. Załatwiwszy się z mniemanym trupem, Steward szybkim, nierównym krokiem udał się do drugiej ofiary. Na progu domu zatrzymał się i zawahał, lecz po chwili wszedł do środka i stoczył krótką, zaciętą walkę z zagradzającem mu drogę jakimś niewidzialnem stworzeniem, poczem szybko pobiegł na górne piętro.



»Nagle straszny okrzyk wydarł się z jego piersi, dziki, wstrząsający......

Przed oczami detektywa rozwijała się stopniowo cała akcya popełnionego przez Stewarda podwójnego morderstwa. Detektyw wiedział teraz, że nędznik zamordował Żanettę w celu wykradzenia jej z kieszeni kluczy od mieszkania pani de Trèves. Po drodze zaś zadusił wiernego jej psa Tygrysa, a teraz nastąpić miała ostatnia decydująca scena. Lecz w chwili, gdy nędznik miał już przestąpić próg sypialni swojej nieszczęśliwej ofiary, Jaime schwycił go za ramię i gwizdnął na żandarmów. Pokój ów przedstawiał straszny widok; na rozburzonem, pokrwawionem łóżku leżała śmiertelnie blada kobieta; elektryczna lampka, zawieszona nad łóżkiem, oświetlała ten wstrząsający obraz, przygotowany wcześniej z rozkazu ajenta. Reszta pokoju tonęła w zmroku. Detektyw Jaime podszedł ze Stewardem do łóżka.

— Obudź się — rozkazał.

Po twarzy uśpionego przebiegł skurcz; ręką potarł silnie czoło, poruszył powiekami i spojrzał przed siebie. Nagle straszny okrzyk wydarł się z jego piersi, dziki, wstrząsający okrzyk ginącego dzikiego zwierza. Dostrzegł on kobietę, leżącą na łóżku. Nagłym ruchem usiłował się cofnąć; oczy jego rozszerzone, błędnem spojrzeniem obejmowały otoczenie, a w kątach ust skrzywionych ukazała się biała piana. W tej samej chwili detektyw Jaime, który się był na chwilę usunął w cień, podszedł do nędznika w asystencyi dwóch żandarmów. Steward jęknął głucho i składając błagalnie ręce, upadł na kolana.

ROZDZIAŁ XXII.

Koniec zdrajcy.

Tego samego roku 25 grudnia, w niedzielę, jakiś starzec podążał drogą do Orleanu. Było to wczesną bardzo godziną; w nocy spadł śnieg obfity i cała okolica, jak tylko okiem dojrzeć było można, była pokryta puszystym białym dywanem.

Starzec szedł wolnym krokiem, rozglądając się wokoło. Na twarzy jego wyniszczonej, jaśniał wyraz głębokiego zadowolenia i radości.

Godzina siódma biła na ratuszowym zegarze, gdy podróżny zagłębił się w pierwszą ulicę w Bourg la Reine. Przed jednym z domów stał robotnik z narzędziami, przewieszonemi przez ramię.

Starzec podszedł do niego.

— Czy nie mógłbyś mi powiedzieć przyjacielu, w której stronie mieszka pani Verdier — zapytał uprzejmie.

— Pani Verdier? Idźcie prosto, tą drogą, aż do ulicy Houdan. Zaraz po lewej stronie zobaczycie duży ładny dom ze złoconą bramą.

Starzec podziękował i poszedł dalej.

Po chwili stanął przed wskazanym domem. Na odgłos dzwonka zjawił się służący w liberyi.

— Czy tu mieszka pani Verdier? — zapytał podróżny.

— Tak jest. A czego wy od niej chcecie? — odparł służący, mierząc niechętnem okiem nędzną odzież przybysza.

— To nie z panią Verdier chciałbym się widzieć, lecz z panną Henryettą Gibier, która u niej pracuje.

— Panna Henryetta śpi jeszcze, a o tak wczesnej godzinie nie puszczamy nikogo do domu. Powróćcie trochę później.

Mówiąc to służący zamierzał już drzwi zamknąć, gdy w tej samej chwili młoda kobieta w porannej toalecie ukazała się na werandzie.

Na jej widok starzec drgnął silnie, odepchnął jednym ruchem zagradzającego mu przejście lokaja i podbiegł szybko ku domowi.

— Henryetto! Henryetto! moje dziecko! — wołał wzruszonym, przerywanym głosem.

Henryetta Gibier odwróciła się; okrzyk szalonej radości wybiegł z jej piersi. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby ją nie były podtrzymały drżące ramiona starca. Po chwili Klemens Gibier, wyczerpany wzruszeniem i zmęczeniem, trzymając ciągle córkę swoją w ramionach, usiadł bezwładnie na kamiennej ławeczce.

Długą chwilę trwało radosne, wzruszające milczenie. Grube, ciężkie łzy biegły po bladej twarzy starego ogrodnika.

— Dlaczego nie uprzedziłeś mnie ojcze o swojem przybyciu — rzekła wkońcu młoda dziewczyna. Byłabym pobiegła na twoje spotkanie. Zrobiłeś mi przykrość — dodała z wyrzutem, pieszcząc bladą ręką pomarszczoną twarz oica.

— Nie gniewaj się na mnie Henryetto — odpowiedział starzec łagodnie. Miałem wyjść stamtąd dopiero jutro. Ten zacny sędzia p. Davricourt, uwolnił mnie wcześniej. Już wczoraj wieczorem opuściłem więzienie.

— Wczoraj? I dlaczego ojcze nie przyszedłeś tu zaraz.

— Była już późna godzina. Obawiałem się wywołać niezadowolenie twojej nowej pani.

— Ona jest taka dobra. Pielęgnowała mnie i matkę Piotra tak, jak gdybyśmy należały do rodziny. Dawna moja pani, nieszczęśliwa kreolka Ludmiła, która rozchorowała się śmiertelnie, poleciła mnie pani Verdier.

— A jakże się ma teraz pani Ducret? — zapytał Klemens Gibier.

(Dokończenie nastąpi).

Jubileusz majsterski prezydenta.

Obecny prezydent m. Lwowa, p. Stanisław Ci-chciński, jest z zawodu blacharzem, a że właśnie w tym miesiącu upłynęło 40 lat od chwili rozpoczęcia prze-



Fot. T. Bahrynowicz & Stetkiewicz, Lwów.
Jubileusz majsterski prezydenta: Prezydent m. Lwowa p. Stanisław Ciuchciński.

zeń samoistnego wykonywania tego rękodzieła, przeto dawni uczniowie, którzy w jego pracowni kształcili się i w niej zostali wypisani, urządzili mu wspólnie z lwowską korporacyą blacharską piękną a serdeczną owacyę.

Po nabożeństwie w archikatedrze, udali się byli uczniowie p. Ciuchcińskiego, w tem 7 majstrów, do jego biura w prezydyum magistratu i tam ofiarowali mu na pamiątkę uroczystego dnia zbiorową fotografię w ramach, pięknie z blachy wykonanych a jeden z pierwszych jego uczniów p. Rodakiewicz przemówił do jubilata serdecznie, podnosząc jego zasługi około rękodzielnictwa i około rodzinnego miasta. Przemawiał także przełożony korporacyi blacharskiej p. Smoleński, poczem wzruszony jubilat złożył obecnym serdeczne podziękowanie za owacyę i podejmował ich gościnnie w swem mieszkaniu.

Dwudziestolecie „Echa".

Jedno z najsympatyczniejszych towarzystw śpiewackich polskich, „Echo" we Lwowie, obchodziło w ostatnią niedzielę dwudziestolecie swego istnienia. Działalność tej drużyny śpiewackiej znaną jest nietylko we Lwowie, ale niemal w całym kraju, a nawet poza jego granicami, bo i w Warszawie i na Węgrzech śpiewali Echiści, głosząc sławę polskiej pieśni. I nie zdarzyło się w całym 20 letnim okresie istnienia „Echa", by ono odmówiło swego udziału, gdy chodziło o cel patryotyczny, lub dobroczynny. Z ochotą, z zapałem śpieszyli dzielni śpiewacy wszędzie, gdzie ich wołano w imię obowiązku. Nic dziwnego też, że zespiewane ze sobą grono Echistów cieszyło się powszechną miłością i sympatyą i każdym swym występem zdobywało nie tylko uznanie za artystyczne produkcye, ale i wdzięczność szerokich kół społeczeństwa.

Dowodem i wyrazem sympatyi dla „Echa", był obchód jubileuszowy, który zgromadził prócz wielu dawnych członków także tłumy publiczności. Obchód rozpoczął się rano nabożeństwem w kościele archikatedralnym, poczem nastąpiła wspólna fotografia w zakładzie pp. Bahrynowicza & Stetkiewicza. Z kolei udano się do lokalu „Echa" na śniadanie, wieczór zaś odbył się w sali „Sokoła" koncert jubileuszowy, który wypadł imponująco. Do podniesienia nastroju przyczyniły się w dużym stopniu owacye, jakie urządzono na cześć założyciela i pierwszego prezesa „Echa", radcy Fontany, oraz obecnego kierownika artystycznego towarzystwa, znakomitego muzyka p. Jana Galla. Na koncercie obecnymi byli prócz przedstawicieli świata artystycznego i literackiego, ks. arcybiskup Bilczewski i ks. biskup Bandurski.

Zakończeniem uroczystości jubileuszowej była wspólna uczta, w której wzięło udział około 150 osób, w tem wiele pań. Wśród serdecznego i miłego nastroju przepędzono kilka godzin; kulminacyjnym punktem zebrania był szereg pięknych przemówień i odczytanie mnóstwa depesz gratulacyjnych.

Jubileusz sługi.

(Do illustracyi na stronie 3).

Jedną z rzadkich uroczystości obchodzono przed paru dniami w Przemyślu. Był nią jubileusz 40-le-



Fot. T. Bahrynowicz & Stetkiewicz, Lwów.
Dwudziestolecie »Echa«: Założyciel i pierwszy prezes »Echa« radca Maryan Fontana.

tniej służby w tamtejszym kolejowym magazynie materyałowym, jakiego doczekał się Dominik Węgrzynowski. Jubilat odznaczony został za tyloletnią służbę medalem honorowym.

W dniu uroczystości zebrali się towarzysze pracy Węgrzynowskiego i jego przełożeni w sali kolejowej straży ochotniczej, gdzie naczelnik magazynów p. Gruszecki przemówił ciepło do starego sługi, przypiął do piersi jego honorowy medal, oraz wręczył jako upominek srebrną tabakierę.



Fot. T. Bahrynowicz & Stetkiewicz, Lwów.
Dwudziestolecie »Echa«: Grupa uczestników uroczystości jubileuszowej. Dyr. Jan Gall (1); założyciel i pierwszy prezes p. M. Fontana (2); obecny prezes p. Domiszewski (3); jeden z założycieli poseł Józef Hudec (4).

Jubilat spędził całe swe życie w Przemyślu, który pamięta z czasów, gdy był jeszcze miasteczkiem małem. Z upodbaniem opowiada młodszemu pokoleniu rozmaite wypadki z przeszłości rodzinnego miasta, z czasów, gdy tam, gdzie dziś są pryncypalne ulice i najpiękniejsze gmachy, były pola i pastwiska. Równie chętnie bawi młodzież opowiadaniem epizodów z r. 1848 lub z wojny prusko-austryackiej, bo w obu tych kampaniach brał czynny udział. Dziś liczy p. Węgrzynowski 70 lat, mimo to trzyma się krzepko i dzielnie, nie opuszczając jeszcze ciężkiej swej służby.

Z TYGODNIA

W okropnych czasach braku gotówki, miałem szczerą chęć rozweselić dziś nieco czytelników, aby im uczynić znośniejszem to bezpieniężne życie. I właśnie w tym celu wybierałem się na jakie posiedzenie rady miejskiej, która obecnie swojemi dyskusyami, a zwłaszcza wyborami, konającego do śmiechu pobudzić może, gdy w tem drogą na Warszawę przedostała się do mnie wiadomość, mrożąca krew w żyłach i dębiąca włosy na głowie. Krótko mówiąc: stoimy na wulkanie, a raczej na wulkanach. A nie jestto żadna przenośnia, nie jestto np. żaden krzyk konserwatysty, drżącego ze strachu przed socyałem. My, Krakowianie, dosłownie nietylko stoimy, ale siedzimy, leżymy, jemy, pijemy, kłócimy się, firtujemy, polityknjemy, bryndzujemy, żenimy się, kichamy, naciągamy i dajemy się naciągać, zmieniamy przekonania, wymyślamy, hawełkujemy, tańcujemy i tak dalej i tak dalej—słowem spełniamy wszystkie funkcye żywotne i obowiązki tak moralne jak niemoralne... na wulkanie. I pewnego pięknego dnia lub wieczora stanie się u nas to samo, co w Kalabryi. Wieża Maryacka fiknie koziołka, gruzy Sukiennic pokryją rynek, magistrat wyskoczy w powietrze i wpadnie do Hawełki, członki unii demokratycznej legną u stóp bufetu Wentzla, rzeźnicy zawisną na drutach tramwaju elektrycznego, komisya drożyzniana przebudzi się z letargu — nie pozostanie kamień na kamieniu, tylko p. Nowotny będzie dalej przejeżdżał się automobilem, p. Rydel na ruinach Krakowa będzie wykładał o ruinach greckich, a resursa urzędnicza „z powodu trzęsienia ziemi“ urządzi zabawę tańcującą.

Horoskop ten stawiam na mocy wygłoszonego w Warszawie odczytu p. Zygmunta Weyberga, który, rozważając formacyę geologiczną okolic Tenczynka, wykazał na podstawie analizy, iż ziemia krakowska w czasach odległej przeszłości ulegała wstrząśnieniom wybuchów i kataklizmów wulkanicznych. Mieszkamy zatem na zagasłych wulkanach, którym, jak wiadomo, przykrzy się czasem bezczynność i wówczas przypominają sobie młode lata. Takie zagasłe wulkany są gorsze od czynnych, bo kiedy te ostatnie mają wciąż odpływ dla swej energii, tamte ją gromadzą powoli, aż nagle wybuchają z siłą przerażającą. Daje się to spostrzedz i w życiu ludzkiem, zwłaszcza płci pięknej. Niejedna piękna a nawet niepiękna dama, będąca wulkanikiem koło 20 roku życia, potem pomału wygasa, krater jej uczuć przestaje być czynnym, aż nagle po czterdziestce z pod zagasłych popiołów wybuchają płomienie i wytryska gorąca lawa; dawny wulkanik staje się dopiero teraz wielkim wulkanem, kraterek wielkim kraterem, a pożaru tego nie zdoła już zgasić mąż, pompier urzędowy.

Sądziłbym przeto, że dbała o dobro miasta i jego mieszkańców rada miejska powinnaby wysadzić „komisyę wulkaniczną“, któraby się zajęła zbadaniem zagasłych wulkanów krakowskich i przyszła z odpowiedniemi na radę wnioskami. Trzeba naturalnie wybrać ludzi nieustraszonych i kompetentnych. Sądzę, że będę wyrazem opinii ogółu, jeżeli zaproponuję, aby w skład tej komisyi weszli świeżo wybrani członkowie „komisyi obchodu grunwaldzkiego“ pp. Tilles, Landau i Jutkiewicz.

Wybuch wulkanów krakowskich mógłby obudzić nawet z letargu, jak to już zauważyłem, komisyę drożyźnianą. Rzeczywiście tylko wielki kataklizm ciałem tem zdoła wstrząsnąć i przerwać jego chroniczną śpiączkę. Wszystkie rady miejskie, jak Austrya długa i szeroka, radzą nad tą sprawą, wybiła ona dla siebie drzwi parlamentu, wyszła na ulicę i demonstracyjnymi pochodami objawia swoją żywotność. Jeden Kraków dotychczas mało się nią interesował. Otóż czuję się dumnym, że moja propozycya „postu“ znalazła echo wśród czytelników „Nowości“. Miałem wczoraj wizytę jednego z rdzennych obywateli kleparskich, który mnie zawiadomił, że zebrała się „ankieta“, obradująca nad moim wnioskiem. Opowiedział mi jej przebieg i przytoczone przez ankietników argumenta. Te ostatnie podaję w dosłownem brzmieniu:

„Naprzód — mówił mój gość — trza to wiedzieć, panie dzieju, że choć rzeźniki łupią z nas skórę i biorą więcej, niż im się patrzy, to i tak mięso nie byłoby tanie, bo go ludzie za dużo jedzą. Dawniej bywało mięso ino na obiad, a tera musi być i na kolacyę. Dawniej, jak był katolik, panie dzieju, to katolik całą gębą — pościł co środy, piątki i soboty, pościł wigilie świąt, suszył suche dni, a bez cały wielki post to nawet, panie dzieju, nie myślał o mięsie, bo to był grzech, panie dzieju. Jeden z nas, co jest rachmistrzem, panie dzieju, w naszym cechu, wyrachował z kalendarza Czecha, co tych postów, dni suchych i krzyżowych i wigilii było na rok 246 — a więc mięsnych, panie dzieju, bez cały rok było ino 120. A mimo to ludziska byli zdrowi, a nie takie, panie dzieju, zdechlaki jak teraz. Mój dziad (świeć panie nad jego duszą) ożenił się drugi raz mając 60 lat i miał z drugiej żony mojego ojca i jeszcze troje dziecek. A żadnego postu nie opuścił, panie dzieju. A z nas mięsożernych, jak się który obabi po czterdziestce, to się ludzie śmieją i gadają, że się wpisał, panie dzieju, do cechu rogaczy“.

„Gadają wprawdzie doktorzy, że mięso jest potrzebne dla zdrowia. A no, argument panie wielki. Ino że są ludziska, co się nazywają jaroszami, którzy żyją i do starości dochodzą, choć mięsem się brzydzą. Mówią oni, że koń befsztyków nie jada, wół się szuyclami nie pasie, a jest silniejszy od człowieka. Mówią dalej, panie dzieju, że ino dzikie, drapieżne bestye żywią się mięsem. Każdą też zbrodnię, każde przestępstwo przypisują mięsu — nawet jak mąż zdradzi żonę, to winią za to mięso...“

„Otóż naszej ankiecie, panie dzieju, widziało się, że i doktorzy i te jarosze przesadzają, panie dzieju. Dobre jest mięso, ale czego zanadto, to nie zdrowo. Japończyki ino ryż jedzą, a kroili aż miło — a i Chińczyki niewiele mięsa jedzą, choć to najpracowitszy naród, panie dzieju. A nasz chłop? raz na tydzień je kawałek mięsa, a niechby który wziął w garść naszego inteligenta, to miejski chudziaczek aniby zipnął panie, choć sobie kałdunik tak mięsem zapycha, jakby był chodzącą kichą, panie dzieju.

„Więc tedy wykalkulowaliśmy, że pan dobrze radzi i że trza zrobić bojkot rzeźnikom. Niech każdy katolik pości, jak się patrzy, a będzie miał i mięso tańsze i prędzej się, panie dzieju, dostaniem do Królestwa niebieskiego. Żydzi też mają posty, a i luter się, panie dzieju, nie rozleci, jak se jaki post wyznaczy. Niejeden będzie zdrowszy, a każdy parę grajcarów uszparuje. A że tam, panie dzieju, temu lub owemu rzeźnikowi brzuszek oklapnie, to się dziura w niebie nie zrobi, bo nie dla rzeźników, panie dzieju, został świat stworzony, a duży kałdun to choróbsko, panie dzieju.“

Tyle słów obywatela z Kleparza, który, chcąc okazać mi wdzięczność za dobrą radę, zaprosił mnie na bombkę do Suskiego. Naturalnie nie odmówiłem, boć to dla krakowskiego literata gratka nie lada, a i zaszczyt wielki, że prawdziwy obywatel krakowski uważa go za równego sobie i towarzystwem jego nie gardzi.

Co innego np. literaci warszawscy — tym jest jak u Pana Boga za piecem. Oto świeżo z okoliczności jubileuszu firmy księgarskiej Gebethnera i Wolffa dostała kasa literacka 1000 rubli, jako fundusz żelazny, z którego odsetki mają być obracane na zapomogi dla wdów i sierot po zmarłych literatach.

Firma Gebethnera i Wolffa istnieje już lat 50. Wydała przez ten czas dzieł 1595 w 6.415.000 egz. Z małych początków doszła do dużej fortuny. Wybudowała sobie wspaniały pałac, rodzaj zamczyska. Ma trzy księgarnie — obroty jej roczne wynoszą z jakie pół miliona rubli, jeżeli nie więcej. Co prawda, była zawsze praktyczna, na ryzyka się nie puszczała. Wydawała przeważnie beletrystykę i książki szkolne, co, jak wiadomo, najlepiej się opłaca. Trzymała się zasady, żeby drukować dzieła znanych już autorów. Wydawała np. Sienkiewicza, kiedy ten miał już sławę. Złośliwi twierdzą, że to każdy inny by potrafił i czynią firmie zarzut, że nie popierała nowych talentów. Mają też do niej pretensyę, że nie dawała żadnej inicyatywy, że do żadnego dzieła pomnikowego nie przyłożyła ręki, że taki Słownik geograficzny, Słownik języka polskiego, Encyklopedya ilustrowana, Encyklopedya kościelna, Encyklopedya pedagogiczna wychodziły bez jej udziału. Prawda—mówią dalej ci złośliwi — że wydaje Tygodnik illustrowany, ale go nie założyła, lecz nabyła gotowy i z pisma wielkiej wartości literackiej i artystycznej, zrobiła tandetę. Mówią dalej, że nabywszy za bezcen połowę Kuryera Warszawskiego, sprzedała ją potem dobrze i założyła za wzięte pieniądze kramik konkurencyjny, co jakoby nie bardzo zgodne jest z kupiecką etyką. Ale co to kogo obchodzi, po co się mięszać w takie rzeczy? Dość, że jest jubileusz, a więc go chwalmy. Chwalmy tem więcej, że rozwój firmy Gebethnera i Wolffa zaprzecza twierdzeniu, jakoby literatom polskim niedobrze się działo na świecie. Jeszcze z nimi tak źle nie jest, jeżeli jedna firma mogła na nich zarobić w ciągu lat co najmniej dwa miliony rubli. Chwalmy też tę firmę za to, że poczuła się do wdzięczności i aż 1000 rubli ofiarowała na fundusz żelazny dla wdów i sierot po literatach. Procent od tej sumy wynosi 40 rubli rocznie — cieszcie się wdowy i sieroty. Co to będzie za radość co roku, kiedy taką sumę między was rozdzielą — ile ona to łez osuszy, ile głodnych nakarmi, ile nagich odzieje. Dziękujcie Bogu, że są plantatorzy, co myślą o swoich robotnikach, a nawet o ich rodzinach. A nuż z czasem znajdzie się drugi taki filantrop-wydawca i zarobiwszy na waszych mężach i ojcach, nie już dwa miliony, ale choćby pół miliona, dorzuci do „funduszu żelaznego“ jeszcze jakie 250 rub. Wówczas to już nawet pohulać sobie będziecie mogli.

Macedońska rewolucyonistka.

(Do illustracyi na str. 4).

Półwysep bałkański jest od wieków już ogniskiem ruchów rewolucyjnych. Ruchy te wspiera położenie geograficzne oraz ukształtowanie orograficzne. Pełno tam gór i dolin przepaścistych, pełno lasów głębokich, gęstych, ułatwiających partyzantkę powstańczą, a utrudniających kroki armii regularnej. Nic dziwnego też, że powstanie, stłumione w jednej stronie półwyspu, wybucha po pewnym czasie ze zdwojoną siłą gdzieindziej.

A już najbardziej rewolucyjną krainą tego półwyspu jest Macedonia, której losy zajmują bezustannie mocarstwa sąsiednie, a więc Turcyę, Austro-Węgry, Rosyę i Włochy. Mimo, że tylu opiekunów, tylu dyplomatów troszczy się o sprawy Macedonii, spokój nie wraca do zrewolucyonizowanej krainy. Z każdym dniem przychodzą stamtąd wiadomości o jakichś gwałtownych czynach, o krwawych starciach granicznych itd.

Jak głęboko zakorzeniła się idea rewolucyjna wśród mieszkańców Macedonii, dowodem jest choćby okoliczność, iż w ruchach powstańczych tamtejszych biorą udział i kobiety. Podobiznę jednej z dzielnych rewolucyonistek macedońskich, panny Jordanowki Pukawiczarównej, w pięknym, fantastycznym stroju narodowym, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Studentka chińska.

(Do illustracyi na str. 4).

Odgrodzone od całego świata „chińskim murem“, wrogie japońskiej kulturze, jaka stara się podbić Chiny najbliższa jej sąsiadka Japonia, państwo „syna nieba“, trwało ciągle w wiekowem uśpieniu. W ostatnich jednak latach zmurszała cywilizacyę chińską poruszył jakiś ożywczy prąd, ludność Chin pod wpływem przewrotów politycznych na Dalekim Wschodzie poczęła wsłuchiwać się i przyjmować echa, jakie napływały do ich ojczyzny z Europy.

W państwie mandarynów rozpoczął się ruch, któremu — jak zwykle — początek dała tamtejsza młodzież. Coraz częściej słyszymy o młodych Chińczykach, którzy przybywają do Europy, by kształcić się na tutejszych uniwersytetach. Po powrocie do swej ojczyzny, przywożą oni z sobą nietylko pewien zasób umiejętności, o jakich ich ojcowie nawet nie słyszeli, ale i nowe zagadnienia społeczne. W ten sposób został przesadzony na

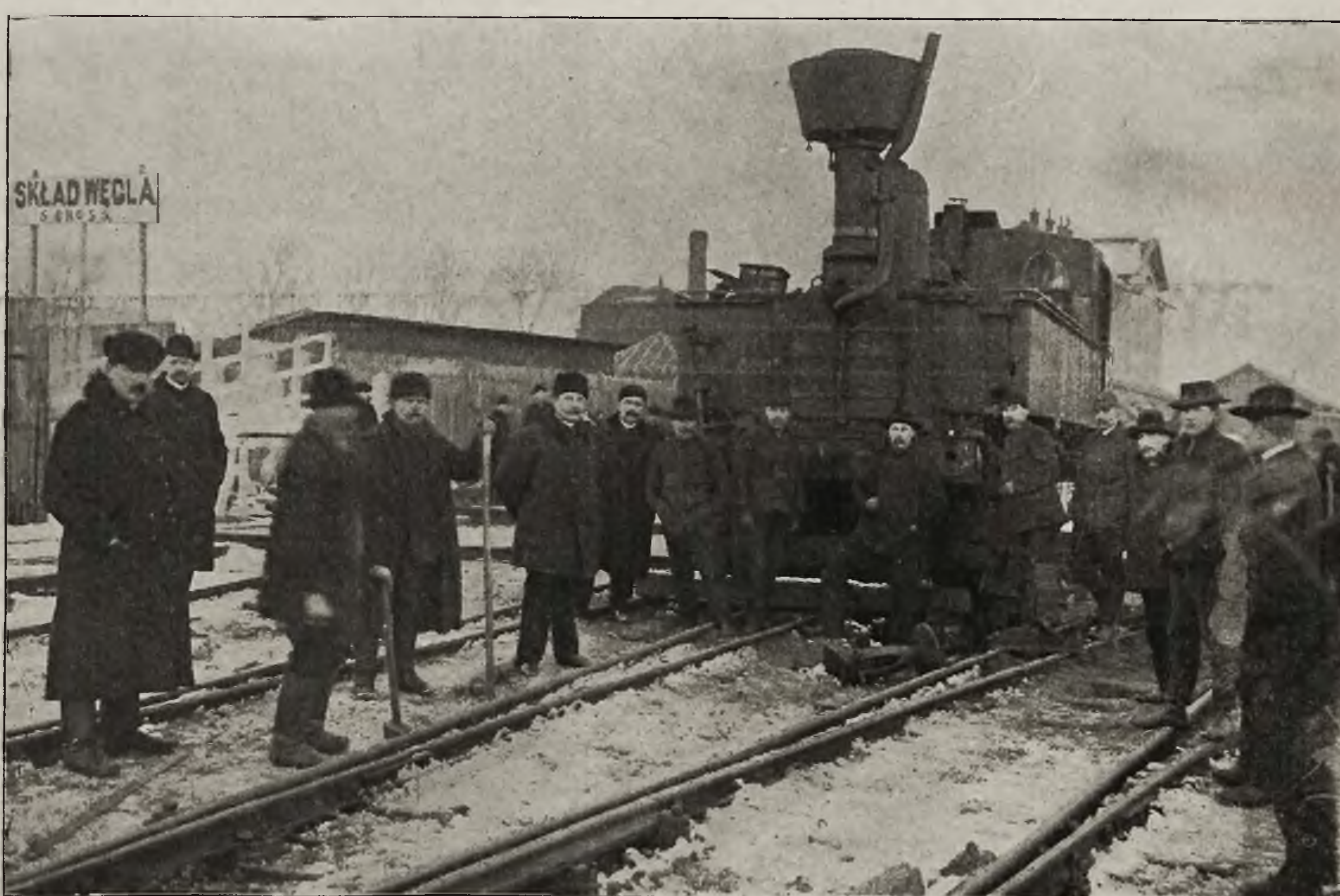
grunt chiński i feminizm europejski. Młode pokolenie Chinek wstępuje w ślady swych braci, zapragnęły one wiedzy i w tym celu wyjeżdżają do Europy po naukę.

Obecnie zjechała do Berlina młoda, bo zaledwie ośmnastoletnia Chinka i zapisała się do tamtejszego uniwersytetu. Młoda adeptka nauki nazywa się Si Tsu Cung i jest córką zmarłego lekarza z Szanghaju. W ojczyźnie swej ukończyła wyższą szkołę dla dziewcząt, poczem prywatnie przygotowywała się do wyższych studyów.

Odnowiona masarnia.

Wspaniale, z imponującym komfortem urządził swój nowy sklep z wyrobami masarskimi p. Józef Bialik. Sklep ten, mieszczący się przy ulicy Floryańskiej, jest nowym dowodem przedsiębiorczości i zapobiegliwości właściciela. Podobnie jak jego pracownia masarska, nagrodzona za swe znakomite wyroby wielu odznaczeniami w kraju i zagranicą, odpowiada i sklep najwybredniejszym wymaganiom w zakresie hygieny i czystości urządzeń. Podłoga tam kamienna, ściany i sufit z tafli szklanych, lady marmurowe, reszta zaś urządzenia ze szkła lub niklu, co wyklucza zanieczyszczenie, a ułatwia znakomicie utrzymanie wzorowej czystości. Wspaniałą ozdobą sklepu są malowidła, przedstawiające widoki Krakowa, a wykonane po mistrzowsku na szkle. Nie mniejszą ozdobą są i wyroby masarskie p. Bialika, pulchne szynki, zgrabne kiełbasy, bialutka słonina, mozaikowe salcesony oraz najrozmaitsze inne specyały.

Dumnym może być dzielny ten przemysłowiec ze swego nowego sklepu, który oznacza nowy krok w postępie tej gałęzi rodzimego przemysłu. Wierzyć też należy, że olbrzymie koszty, włożone w urządzenie tej prawdziwie europejskiej masarni, wrócą się p. Bialikowi z nadwyżką, jego zakład bowiem eksportuje codziennie ogromne ilości masarskich wyrobów do Wiednia oraz do innych miast daleko poza granicami Austro-Węgier.



Wypadek kolejowy na Grzegórzkach: Robotnicy kolejowi, zajęci ustawianiem lokomotywy na tor, pod kierownictwem inżyniera Winklera.

Wypadek kolejowy na Grzegórzkach.

W poniedziałek tego tygodnia wydarzył się na przystanku kolejowym Grzegórzki pod Krakowem, na linii prowadzącej do Kocmyrzowa, wypadek kolejowy, który na szczęście skończył się tylko uszkodzeniem lokomotywy i pięciu wagonów. W dniu tym rano mianowicie wykoleił się pociąg towarowy; prawdopodobnie skutkiem fałszywego ustawienia zwrotnicy, wyskoczyła maszyna tego pociągu ze szyn i przechyliła się z lekka na bok, pociągając za sobą pięć pierwszych wagonów.

Skutkiem tego wypadku musieli podróżni pociągów osobowych, przechodzących przez Grzegórzki, przesiadać się na tej stacyi, ruch zaś pociągów towarowych był do wieczora wstrzymany. Dopiero wieczór bowiem uporządkowano tor i zatarto w zupełności ślady wypadku.

Z lwowskiego bruku.

(Ciekawe nowości, o których mówić nie warto. — Tanie przyrzeczenia. — 20-lecie Echa. — Nowe porąbanie przez policyanta. — Legendarny Schwarzer. — Piękna blondyna i jej zazdrosny małżonek. — Randka i zemsta. — Przed sądem).

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu wiele ciekawych nowości, z których żadna nie zasługuje na wymienienie. Wszystkie bowiem nowości są dopiero zapowiedziane na przyszłość, a ponieważ nauczyliśmy się nie wierzyć zapowiedziom, przeto nie wierzymy, czy to, co rada miejska przyrzekła, ujrzy kiedyś mdłe światło dzienne. Raczej wolno przyjąć, że to tylko dla pocieszenia głodnych i przemarzniętych mieszkańców przyrzeka się, że się wkrótce rozpocznie rozwozić tani opał i sprzedawać tanie mięso. Dziwią się tylko ludzie, czemu magistrat nie przyrzeka więcej, skoro sama obiecanka tak mało kosztuje.

Między obiecankami jest także automobil do wywożenia błota z miasta i cztery jegermanówki, czy — jak je teraz nazywają — mundówki, bo pod tym względem rosną potrzeby mieszkańców w sposób zastraszający i jedynie te potrzeby uznaje lwowski magistrat z całą gotowością gorliwego gospodarza.

Poza tem mieliśmy w sobotę wesoły jubileusz: dwudziestolecie Echa. Przy natłoku publiczności odbył się wspaniały koncert jubileuszowy i konkursowy zarazem. Ciepło, nastrój, niezliczone oklaski, wieńce — wszystko to razem złożyło się na bajecznie piękną uroczystość, jakich mało. Wieczorem odbył się komers w lokalu Towarzystwa kupców i młodzieży handlowej.

Tyle co do nowości. Ze starych rzeczy warto wspomnieć o nowem porąbaniu ludzi przez policyantów, o nowem schwytaniu Schwarzera, którego jednak jeszcze nie schwytali i o nowej aferze, która się onegdaj stała głośną w pewnych kołach, wobec czego wolno już o niej mówić publicznie.

Co do porąbania przez policyantów, to naturalnie nie nastąpiło to, jak się wkrótce pokaże w śledztwie, z winy policyantów, ale z winy porąbanych i policyantom nie spadnie włos z czaka. Co najwyżej będzie się ich trudzić śledztwem, protokółami itp. Ale na tem się skończy. A porąbani staną przed sądem, za opór władzy (nie wolno uciekać, gdy policyant chce cię porąbać!) i pójdą do kozy na jakiś krótki czas.

Co do Schwarzera, to zaczyna on być jakąś legendarną postacią. Co kilka dni donoszą telegramy, że schwytano jakiegoś włamywacza, w parę dni później przychodzi wiadomość, że rysopis schwytanego zgadza się dokładnie z rysopisem Schwarzera, a w tydzień później telegrafują, że schwytany nie jest Schwarzerem. I tak już go kilka razy schwytano i przytrzymano w Austryi, podczas gdy on swobodnie spaceruje po Ameryce i szuka dobrej partyi. Proszę tylko pilnie czytać dzienniki, a przekonacie się, że w przyszłym tygodniu znów przyłapią Schwarzera we Wiedniu, Krakowie lub Ołomuńcu. Dojdzie wreszcie do tego, że gdy Schwarzer istotnie kiedyś powróci z Ameryki i schwytają go na granicy austryackiej, to lwowska policya na depeszę, zawiadamiającą ją o schwytaniu Schwarzera, odpowie z niedowierzaniem, że schwytanego można wypuścić, bo to pewnie nie Schwarzer.

Wreszcie wspomniana afera. Naturalnie wszystko dzieje się naokoło kobiety i koniecznie pięknej, nawet koniecznie blondyny. Tylko blondyna bowiem może być piękną, mówił mi pewien blondyn. Otóż ta piękna blondyna ma męża, który jest bardzo energiczny i zazdrosny, jak ten czarny szekspirowski pan, ale pomalowany na jeszcze czarniejszy kolor. Lekarze powiadają, że zazdrość jest nietylko niezdrową, ale i nieuleczalną chorobą. A piękna blondyna przez lata próbowała leczyć swego męża i doszła już do tego, że mąż wcale nie oburzał się, gdy żonie jego jakiś gach gołowąsy zaglądał na ulicy lub w teatrze w oczy. Onegdaj był z nią w teatrze na „Halce“. Siedzieli w czwartym rzędzie. W pierwszym rzędzie siedział jakiś facet, który podczas pauzy z uporem maniaka lornetował śliczną blondynę. Mąż z początku udawał, że tego nie widzi, ale wreszcie stracił cierpliwość.

— Nie patrz w tamtą stronę! — zawołał na następnej pauzie do żony — bo ten młokos gotów sądzić, że go kokietujesz.

Żona usłuchała i patrzyła w program, który kilkadziesiąt razy przeczytała. Po teatrze wsiadają oboje do dorożki i jadą do domu. Za nimi sunie druga dorożka. Ich dorożka staje przed jedną z kamienic ulicy Leona Sapiehy, druga dorożka przystaje na chwilę i jedzie dalej. Mąż zauważył, że w drugiej dorożce siedział facet z teatru. Jakie były sceny w domu, o tem nikt nie wie z wyjątkiem sługi, stróża i całej kamienicy. Ale nazajutrz mąż nie poszedł do biura i czekał przed oknem. Jakoż około godziny 11-tej przyszedł ekspres z małym różowym listem „dla pani do rąk własnych“. Mąż wyrwał go ekspresowi i czytał:

„Pani! Błagam na kolanach — przyjdź obok głównej poczty dziś o 4-tej popołudniu, ważna sprawa — ten z teatru“.

Poszedł naturalnie mąż. Ale niestety. Godzinę czekał i nie zastał nikogo. Wrócił do domu wściekły. I tu go dopiero zastał w bramie. Naturalnie wypoliczkował go i naturalnie stanął za to przed sądem, bo to był zupełnie inny facet, który mieszkał w tej kamienicy. *Kl.*



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.
Odnowiona masarnia: Wnętrze odnowionej masarni p. Bialika, wraz z właścicielem firmy i personalem sklepowym.

Trafiła kosa na kamień.

Powieść na tle aktów policyi paryskiej, napisał W. K.

3 Ciąg dalszy.

III.

Nazajutrz rozjechali się. Ów pan Henryk, ajent policyjny, oddawany często do dyspozycyi George'a, wrócił do Calais, odegrawszy rolę męża pięknej damy, a George ze synem, jadącym wciąż w postaci kobiecej, pojechali do Paryża. O godzinie czwartej wysiedli na jednym z przedmiejskich dworców.

— Jest jaka nie zajęta dorożka? — zapytał George.

— Jest, jest, jest — odezwało się z dziesięć głosów.

— Wszystkich nie potrzebuję, zajeżdżaj pierwszy z kraju.

Wrzucili pakunki podróżne, siedli i ruszyli z miejsca.

— A dokąd jechać? proszę pana — pyta dorożkarz.

— Zaraz, zaraz, namyślę się — odpowiedział George i gdy odjechali kawał drogi od dworca, a nikogo już w pobliżu nie było, rzekł nie zbyt głośno:

— Rue Maison des Evangelistes, liczba pięćdziesiąt.

Dorożkarz zaciął konia, cmoknął mu w dodatku i jechał ostro. Widocznie ambicya przedmiejska kazała mu się popisywać, aby kto nie powiedział, że przedmieście gorsze od Paryża samego.

Zaledwie dojechali do końca ulicy, na skręcie usłyszeli wrzask. Chłopaki z kolportażu dzienników wykrzykiwali:

— Najnowsze wiadomości! ciekawe! morderstwo! straszne morderstwo w Paryżu. Jeden sous, proszę kupić. Morderstwo! Morderstwo w Paryżu! Najnowsze wiadomości.

Koło chłopaków cisnęli się ludzie, kupc. li, wydzierali sobie gazety z rąk, czytali zaraz na ulicy. Ledwie się George docisnął, żeby kupić gazetę. Zaczął czytać po drodze:

„Morderstwo. Dziś rano znaleziono w Bois de Boulogne zwłoki mężczyzny elegancko ubranego. Był to człowiek niepomiernie wysokiego wzrostu. Samobójstwa nie można przypuszczać, bo przy zwłokach nie znaleziono broni. Również i rabunku nie było, bo w kieszeniach zamordowanego znaleziono nie tknięte papierosy i znaczną kwotę pieniędzy. Ze znalezionych papierów dowiedziano się, że zamordowany był dyrektorem Tow. asekuracyjnego w Lionie. Stwierdzono, że dzisiejszym nocnym pociągiem przybył z Calais na dworzec centralny jakiś mężczyzna olbrzymiego wzrostu. Czy właśnie ten padł ofiarą mordu, jeszcze dociec nie zdołano“.

Ojciec i syn spojrzeli na siebie.

— To dziwne! — zawołali równocześnie.

— Nie ulega wątpliwości, że mnie chcieli zabić — szepnął George — a inny padł ofiarą.

— Ależ to niebezpieczna banda — wtrącił Freddy.

— Tem bardziej się wysilimy, aby ją zniszczyć.

— Lękam się bardzo o ciebie ojcze, bo gdy cię dopatrzą i po wzroście poznają, to...

— To co?

— Możesz paść ofiarą.

— Mój drogi. Tyle lat narażałem się, tyle lat poznawały mnie łotry wszelkiego rodzaju, tyle razy urządzali na mnie zasadzki i zamachy, a jednak Bóg mnie zawsze ochronił. Wszystko z woli Bożej. A wreszcie gdybym i padł ofiarą swego zawodu, to byłaby to śmierć taka, jak żołnierza na polu bitwy, a więc chlubna, piękna, a może i chlubniejsza. Więcej ma ludzkość pożytku z walki ze zbrodnią, z walki o sprawiedliwość, o ideały etyczne, niż ze wzajemnego mordowania się dwóch narodów. W imię Boga do uczciwej roboty mój chłopcze, a bez lęku, a z wiarą, że Bóg czuwa.

— Jakiś ty zacny mój ojcze. Jak ty szlachetnie pojmujesz obowiązki swego zawodu.

Dorożka się zatrzymała. Byli na miejscu. W ulicy Maison des Evangelistes pod l. 50. mieszkała pani Foret, siostra Gutmana. Wyszła za mąż za Francuza, który ją poznał w Londynie. Był kupcem i właścicielem domu; umarł po kilku latach małżeństwa bezdzietnie, handel przekazał swoim krewnym, a dom zapisał żonie.

George zajechał z synem do siostry. Kochali się bardzo, więc była to dla niej radość największa, ile razy brat do niej zajrzał. Miał tam już osobny dla siebie pokój, od którego nawet klucz nosił przy sobie. Weszli prędko do owego pokoju i dopiero gdy Freddy przebrał się po męsku, poszli się przywitać. Posiliwszy się cokolwiek, wrócili do swego pokoju, gdzie Freddy ponownie przekształcił się w kobietę.

— Słuchajże chłopcze, teraz zaczniemy robotę ciężką. O mnie, czy tam o mój wzrost, nie lękaj się wcale. Są na to sposoby, żeby się wydać niższym, niż się jest w istocie; przekonasz się o tem jutro. Ty musisz udawać kobietę, może i dość długo; miejże się na baczności, abyś kiedy z roli nie wypadł. Lada chwila przyjdzie tu bankier Blanc ze żoną, według tego, jak się z nimi umówiłem. Oho! godzina 7, już być powinni

Rzeczywiście przybyli z uderzeniem godziny. Była to para małżeńska pełna dystynkcyi, pełna uprzejmości, właściwej ludziom dobrze wychowanym. Znać było strasne na obojgu przygnębienie.

— Pan George Gutman? — zapytał bankier.

— Tak panie. A to moja córka Maud, która mi bardzo skutecznie pomaga.

— Jakże panu wdzięczną jestem, że pan zechciałeś ofiarować nam swe usługi — rzekła pani Blanc ze łzami. Taką mam wiarę w pańskie zdolności, że już pewną jestem odzyskania biednej córki. To jedyne nasze dziecko. Nie dał nam Bóg syna, więc wzięliśmy na wychowanie sierotę i wychowanek nasz zastępuje nam syna własnego. Kochamy go bardzo, traktujemy na równi z córką, postanowiliśmy go po rodzicielsku wyposażyć. On też bardzo do nas przywiązany, pomaga mężowi w bankowych zajęciach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył K. O z Warszawy.

Pierwsza z drugą z papieru — zapisana bywa,
Czasem też malowana — wygrywa, przegrywa;
Kto jest *czwartą* i *trzecią*, ten się nie ośmieli
Pokazać ludziom — chyba, że będzie w kąpieli.
Wszystko gród starożytny i potężny, który
Założyła kobiea wśród wołowej skóry.

Szarada.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Kiedy ziemia *pierwsza druga*
Niechaj ręka chwyta pługa,
A poszczęści pracy Bóg!
I z jesienią za twe znoje
Za twe trudy, niepokoje
Stawisz w lot przy stogu stóg.
Pierwszych wspak i wprost *trzecie*
Masz przy armii wiele,
Całość bracie widzisz przecie
Codziennie w kościele.

Łamigłówka literacka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Podane wyrazy tak poprzestawiać, aby ich drugie litery dały nazwisko polskiego komedyopisarza, zaś czwarte tytuł jednej jego komedyi.

Elba, epopeja, dzwony, Litawa, obligacye, osaczyć, prorok, skrytka, Tyrnawa, Wyspiański.

Zagadka.

Ułożył Maryan z Pikułowic.

Z podanych liter ułożyć 10 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko powieściopisarza polskiego, końcowe zaś, czytane z dołu do góry, tytuł powieści tegoż autora.

a	a	a	a	b	
c	c	d	d	d	e
e	e	e	e	e	e
i	i	i	i	i	k
k	k	k	l	m	m
n	n	n	o	o	o
p	r	r	r	r	s
s	s	s	s	s	s
t	t	u	u	w	w
	y	z	z	z	a

Znaczenie wyrazów: 1. Ptaki wodne domowe. 2. Inaczej ojciec. 3. Miejscowość obok Wiednia, pamiętna bitwą 1809 roku. Chwila wypoczynku po uczce 5 Inaczej rozrywki młodzieży. 6. Imię męskie. 7. Utwór Wyspiańskiego. 8. Inaczej metoda. 9. Miasto w zachodniej Galicyi. 10. Miasto w Syberyi.

Logogryf.

Ułożyła Józefa Gomulińska Bóbrka.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery zastępujące krzyżyki, utworzyły dwa imiona męskie.

×	○	○	○	○	○	×
○	×	○	○	○	×	○
○	○	×	○	×	○	○
○	○	○	×	○	○	○
○	○	×	○	×	○	○
○	×	○	○	○	×	○
×	○	○	○	○	○	×

Znaczenie wyrazów: 1. Imię biblijne. 2. Imię męskie. 3. Miasto w Galicyi wschodniej. 4. Szczyt w Karpatach. 5 Wyspy na morzu Śródziemnem. 6. Król perski. 7. Miasto z warownym zamkiem na Węgrzech.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy **»Na swobodzie«**, powieść A. Gruszeckiego.



Odnowiona masarnia: Portal nowego sklepu masarskiego p. f. Józef Bialik.

Rozwiązanie zagadek z Nru 46.

Kryptogryf.

Eliza Orzeszkowa.

Zagadka zgłoskowa.

Aleksander Fredro — Ignacy Paderewski.

Litera magiczna.

Eleonora — Marsylia.

Trójkąt magiczny.

Makary, apage, kawa, aga, re, y.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K Fuchs Czeremchów, A. Grabowska, Barwałd, Z. Furko Kraków, Z. Karasińska Wadowice, R. Jaworski Lwów, C Pieniążek Zürich, Persowski Krosno, B. Ramułtowa Jeżów, K. Jasiński Kraków, A. Bogdalska Koropuż, M. Rożański Libusza, M Opolska Czarny Dunajec, I Dik Andrychów, J. Badura Koździeń, A. Kmicic Warszawa A. Góyska Bolechów, M. Arbesbauer Lwów, S. Jarociński Zürich, E. Mayer Milatyn nowy, A. Mussil Lwów, S. Kozicki Tarnów, Kierska Truskawiec, F. Niepokój Krosno, H. Gandnikowa Stary Sącz, P. Drzewiecka Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. M. Opolska Czarny Dunajec. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Głosy publiczne.

Kącik humorystyczny.

Nasze dzieci.

— Czy wujcia boli kiedy brzuch?
— O, bardzo często.
— To musi wujaszka okrutnie boleć?
— Dlaczego?
— Bo taki duży...

* * *

Student przyjeżdża na święta i zastaje małego braciszka.
— Mamo, kiedy Janek się urodził?
— W sobotę.
— Ale kiedy, rano czy wieczór?
— Wieczór.
— A gdzie?
Matka, zniecierpliwiona, chcąc przerwać rozmowę:
— Daj mi święty spokój, albo ja wiem gdzie?
— Jakto! Mamy przy tem nie było?

Nasze kucharki.

Pani domu siedzi w salonie przy fortepianie i gra uwerturę z opery Wagnera „Parcival“. Wtem nagle wchodzi do salonu kucharka i tak rzece do pani:

— Proszę pani! Pani fałszywie zrozumiała motyw z tej uwertury... pozwól pani, ja zagram jak należy...